

Adam Grochowski

JEDNĄ DROGĄ

Dwa razy do roku pojawiają się w pismach bilanse tego cośmy dokonali i po słowach pełnych taktownego niepokoju, następuje gromkie nawoływanie do jedności, serdeczne potrząsanie wyciągniętą ręką, zakończone optymistycznym, staropolskim — kochajmy się! Na Boże Narodzenie i na Wielkanoc panuje Treuga Dei, płyną zapewnienia o wspólnym wznoszeniu ścian drogiej ojczyzny i o podtrzymaniu dachu.

Nikt temu zbyt nie dowierza, ale zawsze przyjemniej nie zakłócać sobie świątecznego obżarstwa. Oczywiście po dwu dniach prasa partyjna nawraca do tej samej zajadłej walki.

Jedność ideowa jest u nas niemożliwa i nawoływanie do niej jest nonsensem. Polacy to przekorny naród, nie znoszą uszczęśliwiania siłą, prostackiego zagania na jedno podwórko. Nasz przesadny indywidualizm ma cechy infantylne, każdy chciałby wszystko — siam, siam! Z każdym pokoleniem wszystko u nas zaczyna się na nowo.

Ale są wypadki kiedy ci indywidualiści schodzą się wszyscy razem, nawet niebardzo zaskoczeni tym nagłym spotkaniem. Przemysł i zmiany wewnętrzne dokonują się w każdym osobniku, by w końcu doprowadzić do skupienia w ruchach o zdecydowanym kierunku. I ta dojrzałość jednostkowa, samodzielne roztrząsanie problemów, wreszcie znalezienie pokrewnych wszystkim rozwiązań jest bardziej cenne, jak tępy posłuch i bezmyślna dyscyplina.

W ostatnich trzech latach przed wojną pomimo poprawy materialnej jaka nastąpiła po przełamaniu kryzysu, dawało się wyczuć wyraźnie niezadowolenie wszystkich warstw społecznych. Byliśmy świadkami zaniepokojenia sfer rządzących, które próbowały, wyłowić zasadnicze nurty ideowe i użytkować je na wzmocnienie swej pozycji, pamiętamy ten kłopotliwy wachlarz od kadcichopów po OZN. Od radykalnych rozstrzygnięć powstrzymywał nas jedynie argument bliskiej wojny, przed którą nie było rozsądnym podważać rząd. Gdy we wrześniu wychodziliśmy do walki, wiedzieliśmy, że bronimy nie złoży, łanem władza nie ulegnie uspołecznieniu. Oczywiście miało się to dokonać po zwycięskiej wojnie. Nastroje te były łatwo wyczuwalne, może i one były jedną z przyczyn opóźnionej mobilizacji.

W czasie pięciu lat okupacji przemiany dokonywały się jeszcze gwałtowniej, tasiowały się warstwy społeczne, życie jednostki nabierało głębokiego sensu w podporządkowaniu zbiorowości, w organizacji. Konieczność wielu przeobrażeń gospodarczych nie podlegała dyskusji.

Sklamałbym, gdybym powiedział, że Polskę zmartwychwstałą wyobrażaliśmy sobie na podobieństwo tej, która nas otacza. Nie, mieliśmy inne, może zbyt marzycielskie obrazy. W każdym razie jasnym było dla każdego, że do form przedwrześniowych, jako do ideału państwowości nie powrócimy nigdy.

Charakterystyczny, ofiarny maksymalizm cechuje lata walki. To nieprawda, że jedynie lewica była źródłem dokonujących się dziś przemian. To tylko przypadek, drobny „przypadek dziejowy”, że dziś im przypadł zaszczyt realizowania tego, co dojrzewało w narodzie w ciągu tych długich nocy okupacyjnych.

Przypominam sobie dyskusje w organizacji, raczej w ruchu katolickim, bo tak się nazwała wówczas Unia. Byliśmy bardziej radykalni i skłonni do reform, niż ci, którzy dziś nazywają się rewolucjonistami łagodnymi.

Na przykład sprawa reformy rolnej, głównej chluby partii rządzących była przez nas wielokrotnie rozpracowana. Pamiętam tytuł broszury: „Ziemia, wielka fabryka”. Mówiono w niej o zaoraniu niedz, a wręczeniu chłopu wzamian akcji odpowiadających ilości wcielonych we wspólnotę morgów. Wykazywano wyższość gospodarki planowanej w ramach choćby województwa, nad indywidualnymi zagonami kapusty, ziemniaków i żyta, które we większej części pochłania sam chłop. Proponowano oddanie jednego województwa pod eksperymenty. Przekonywano, że rozbudowany przemysł przetwórczy, rozrzucony, wchłonie z łatwością młodzież bezrolną, nie dopuszczając do dalszego rozdrobnienia gospodarki przez działy spadkowe. Chciano by ten przemysł drogą premii, zapewnieniem skupu doprowadził bez przymusu do poddania się gospodarce planowej. Właśnie dzięki łatwości zbywania wyprodukowanego np. rzepaku, chłop mógł sobie nabyć i kapustę i ziemniaki i jeszcze zyskiwał nadwyżkę w gotówce. Dzięki temu możnaby było wyciągnąć maksimum korzyści z roli.

Przypominam sobie kapitalne referaty nieodżałowanego Karola Konińskiego, jednego z najciekawszych umysłów lat ostatnich, fanatycznego katolika i żarliwego reformatora. Mówił on o ewolucji pojęcia własności, która coraz bardziej staje się dożywoćnym użytkowaniem, a ponieważ wszystko co zdobywamy, czego się „dorbiamy” jest wynikiem wymiany, wypadkową pracy nawarstwionej całych generacji i otaczającego nas społeczeństwa, które nas wyzwala od dożywoćnej robinsonady — więc posiadanie i użytkowanie musi być użytkowaniem wymiennym, służebnym.

Każdy kto się uchyla od przyjmowania i oddawania prac usług społecznych jest pasożytem i złodziejem społecznym. Po prostu trupem.

Referatów tych słuchali nie tylko inteligenci doktrynerzy, ale artyści, naukowcy, kupcy i dziedzice. Wielu z nich mówiło — Jeżeli dobro kraju wymaga naszej ziemi, jesteśmy gotowi ją oddać. I mówili to szczerze, bo wielu z nich oddało i życie.

Zdaje mi się, że to olbrzymi krok naprzód, odmiana dokonana pod presją tych straszliwych lat grozy. Przecież jeszcze pamiętamy jak ci „katolicy” demonstracyjnie występowali z rady przy prymasie Hlondzie, gdy przyszło do deklaracji postulującej reformę rolną.

Marzyliśmy o uspołecznieniu władzy, o jak najdalej posuniętym samorządzie. Marzyliśmy o zjednoczeniu narodów — Polaków, Czechów, Węgrów, Serbów, Rumunów i Greków. Miał powstać jeden blok krajów dobrowolnie łączących się unią — wspólną polityką zagraniczną, wspólnym planowaniem ekonomicznym. Obywatel każdego z państw zjednoczonych miał być równorzędnym obywatelem pozostałych. Kraje miały zachować swoje ustroje, czynnikiem nadrzędnym miała być rada prezydentów i królów. Był wtedy jeszcze i król serbski, był grecki. Rosji nie braliśmy w rachubę, była dla nas za duża, baliśmy się jej dwustu milionów. Nazywał

się ten związek republik i królestw — Związek Trzech Mórz. Wierzyliśmy, że z naszego zgodnego współżycia, weźmie przykład związek republik łacińskich, potem skandynawskich i anglosaskich, którym podporządkowane będą pokonane. Niemcy. W ten sposób zbliżymy się do idealnej Republiki Globu.

Nie śmiecie się, każde marzenie ma w sobie wartości odkrywczę, wspominam o tym, co dziś można kłóć wzruszeniem ramion, by scharakteryzować nasz maksymalizm, szukanie natchnień w naszej historii i rzutowanie ich, może nierealne na współczesność. Wierzyliśmy, że świat obmyty krwią wstanie nowy, lepszy, a polska idea braterstwa ludów dokona dobrowolnego zjednoczenia, do którego narody dojrzały, bez przymusu i gwałtu.

Dlatego dziwi mnie przechwalanie się radykalizmem u pewnych partii politycznych. Dokonywane reformy dojrzały w nas wszystkich, musiały już wreszcie wybuchnąć — jedyną ich rewolucyjną cechą był sam sposób wykonywania. Dzielono ziemię bez teodolitu, kołkami i sznurkiem. Tak samo jest z upaństwowieniem. Jeżeli przejrzymy programy partii postępowych, znajdziemy te same hasła i projekty, różnice są tylko w nomenklaturze. Nie zostały one przejęte od P. P. R., ale powstały w rezultacie długich przemyśleń w latach wojny.

Często spotykamy się z zarzutem, dlaczego katolicy nie idą w awangardzie społecznej, dlaczego nie ich rękami dokonuje się przemiana.

Otóż trzeba sobie uświadomić jedno, że większość reform dokonuje się za całkowitą zgodą mas katolickich, dla których są one stopniowym realizowaniem sprawiedliwości społecznej. Dyskusji musi podlegać zerwanie konkordatu, czy reforma prawa małżeńskiego, czy choćby głupstwo, dzień mięsny w piątek, zmiany te musimy potraktować jako ostrogę.

Reformy wypływają z woli narodu, bo protestów jest nie wiele, w narodzie większości są katolicy, więc nie może całej zasługi zgarniać lewica. Jeżeli rzeczywistość jesteśmy tą większością, po odpadnięciu tych letnich i zdyscyplinowaniu, od

(Ciąg dalszy na stronie 2-giej.)

Perspektywa Odry

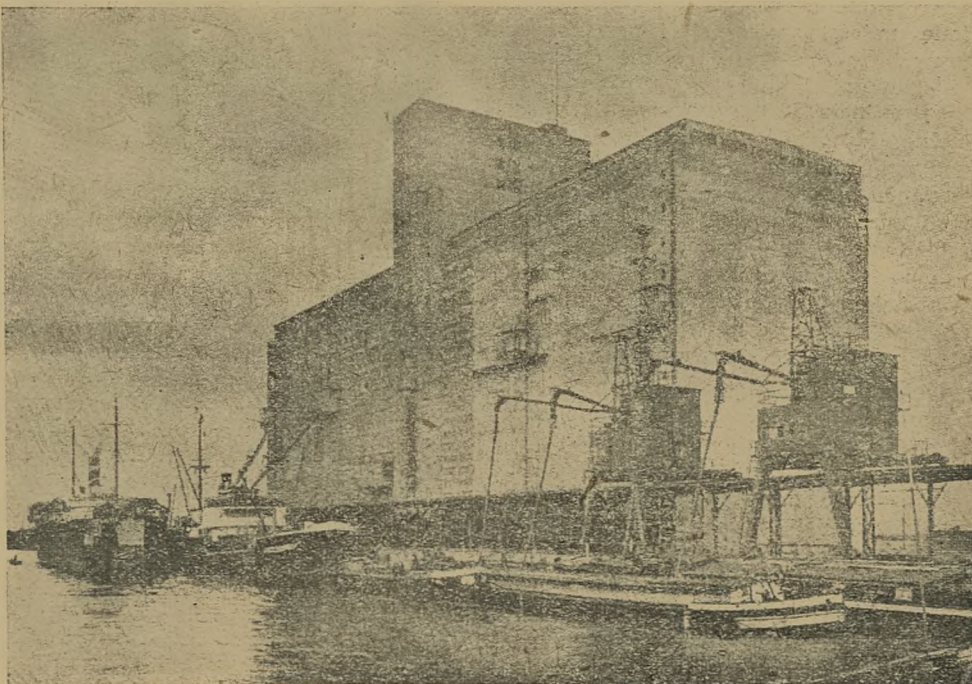
Rok temu przybyli do Szczecina pierwsi Polacy. Przybyli do miasta, w którym tu-pot wieków zdusił już wszelkie pędy słowiańskiego życia, zakłętę jedynie w kamienne i papierowe pomniki. Było pochmurne sobotnie popołudnie, dygotały niedaleko armaty, kiedy przybył do miasta po raz pierwszy obecny prezydent. Ów dzień 28 kwietnia 1945 to próg nowej epoki dla Szczecina.

Potem były pierwsze rozczarowania. Dwukrotnie musiała administracja polska opuszczać miasto, po dwakroć trzeba było oddawać w ręce Niemców uruchomione piekarnie. Ale zaraz potem nastąpiły także pierwsze radości. Do największych należała niewątpliwie chwila, w której oznajmiono w ciemnej, ratuszowej sali niemieckiemu zarządowi miasta, że mocą uchwał Konferencji Poczdamskiej Szczecin wraca definitywnie do Polski, że miasto przejmuje administracja polska, szkoła polska i wojsko polskie.

Odtąd troska nasza poszła w dwóch najważniejszych kierunkach. Po pierwsze w kierunku wysiedlenia z miasta i okolicy Niemców, po drugie w kierunku przejęcia i zagospodarowania portu szczecińskiego. Obie sprawy są problemami o znaczeniu międzynarodowym i o ile dotychczas udało się nam zdobyć podstawy polityczne i prawne pod rozwiązanie problemu pierwszego, o tyle trudniej układają się realia w kręgu sprawy drugiej.

Powstała Szczecińska Dyrekcja Odbudowy Miasta, Zarząd miasta nie czekając na pierwszy przyznany kredyt wykonał już od lipca do października ub. roku sporo pracy w dziedzinie uporządkowania i częściowej odbudowy miasta. Fundusze przyznane dotychczas Dyrekcji Odbudowy w Szczecinie są w stosunku do ogromu prac dość niepozorne. Przyznano wprawdzie już 45 milionów złotych, ale aby przeprowadzić połowę przynajmniej zamierzonych prac trzeba będzie doczekać następnych funduszy przyznanych w wysokości 150 milionów złotych.

Praca polska w Szczecinie to nasz argument polityczny. Człowiek polski w Szczecinie to nasz argument historyczny; jest to bowiem ten sam człowiek, który tu był przed wiekami, mówi tym samym słowiańskim językiem i pragnie tu tak samo jak wówczas — żyć i pracować.



Szczecin, elewator zbożowy w porcie.

Stanisław Helsztyński

Dąb, Miedwie i ks. Kozierowski

Zdaje się, że do najszcześniejszych pracowników dzisiejszego dnia należy ks. kanonik Stanisław Kozierowski, proboszcz w Winnogórze koło Miłostawia. Poświęca wolny od duszpasterstwa czas badaniom nazw topograficznych, zgromadził w ciągu 40 lat olbrzymi materiał, dotyczący rozmieszczenia plemion słowiańskich aż po Łabę.

Przed laty, kiedy ks. Kozierowski drukował swoje zeszyty geograficzne, wydawać się mogło, że jest to przedsięwzięcie czysto papierowe i akademickie, bez znaczenia praktycznego. Co najwyżej można było uważać wydawnictwa te za pomniki i nagrobki wymarłych czy zgermanizowanych ludów słowiańskich.

Było to w każdym razie mocne podtrzymanie tezy i udowadnianie w tysiącach przypadków, że ziemia ta, na której Niemcy siedzieli, była słowiańska. Pozwalało nam w pół-germańskich, pół-egzotycznych nazwach doszukiwać się czystego źródłosłowa słowiańskiego czy polskiego.

Wiedzieliśmy, że na Rugii ostatni mieszkaniec słowiański zszedł do grobu w wieku XV, że w Hanowerskim brat Słowianin wyrażał swą wolę w testamencie, pisany w rodzimym słowiańskim języku, ostatni raz w wieku XVIII. Nazwy okazały się trwalsze od żywej ludzkiej krtani. Trwały nawet po wymarciu całych plemion i przechowywały pamięć o nich.

Dzisiaj z chwilą bezprzykładnego powalenia na ziemię mocarstwa niemieckiego i powrotu ziem nadodrzańskich do Polski, prace ks. Kozierowskiego nabrały zupełnie innej wymowy, innej barwy i znaczenia praktycznego.

Kiedy przyjechałem z ekipą wojewódzką do Piły w kwietniu ub. roku, zgłosił się do nas w pierwszych dniach funkcjonariusz dyrekcji kolei z listą 400 miejscowości stacyjnych, żeby otrzymać ich nowe, a właściwie prastare, słowiańskie brzmienie.

Nie będziemy więc odtąd, będąc na Pomorzu Zachodnim, jeździć do: Stolp, Rummelsburg, Schlawe, Köslin, Neustettin, Dramburg, Schivelbein, lecz do: Słupska, Miastka, Sławna, Koszalina, Szczecinka, Drawska, Świebowiny. To samo dotyczy innych miast jak: Arnswalde — Choszczno, Friedeberg — Strzelec, Söldin — Myślibórz, Landsberg — Gorzów, Deutschkrone — Wałcz, Schönlanke — Trzcianka, Flatow — Złotów, Schlochau

Jedną drogą

(Dokończenie ze strony 1-szej.)

nas tylko zależy, by nadać piętno chrześcijańskie dokonującym się przemianom. Nie nas tylko zależy, by nadać piętno chrześcijańska reforma nas dzieli, ale idea, z której się ją wywodzi.

Gdy ruch marksistowski zasadza przemianę na walce klasowej, „zdrowej nienawiści“, katolicy pragną dokonywać jej w imię miłości społecznej i poszanowania praw bliźniego. Posiadanie nie jest przywilejem, ani uwolnieniem od pracy — posiadanie nakłada ogromne obowiązki społeczne, których wykonywanie musi być pod społeczną kontrolą. Egoistyczne użytkowanie własności jest zbrodnią społeczną i musi podlegać karze. Uświadomienie sobie wśród katolików przemian, jakie łokonały się w nas samych, doprowadza do przekonania, że katolicyzm nie jest szyldem osłaniającym wszystko co wsteczne i odporne, co wrogie naszym czasom.

I choć dzielą nas idee, choć katolicyzm i marksizm będą zawsze we wojnie, skutki społeczne, pomimo różnych metod, będą bliskie. I tu właśnie na platformie oswobodzenia człowieka, budowania nowej doczesności może nastąpić spotkanie i spokojna rywalizacja. Wyłącznie od ilości katolików nie izolujących się, ale wprężniętych w pracę nad kształtowaniem nowej Polski, realizujących radykalne wskazania katolickie, będzie zależało, która z idei nada piętno naszym czasom, jaki znak będzie powiewał na szczycie.

Ale na razie droga marszu jest jedna.

— Człuchów, Greifenhagen — Gryfin, Regenswalde — Ławiczka, itd.

Najmilszą moją lekturą w czasie pobytu na Pomorzu Zachodnim był pierwszy zeszyt atlasu ks. Kozierowskiego, dotyczący Słowiańszczyzny Zachodniej, obejmujący imionictwo topograficzne Słupska, Kołobrzegu, Piły i Szczecina.

Brałem najpierw tablice z nazwami słowiańskimi i zagłębiałem się z lubością w te dźwięki i brzmienia, które utrwalone zostały w kodeksach, księgach sądowych, nadaniach, statutach książąt pomorskich, kronikach klasztornych, zapisach wielmożów. Nic tu germańskiego, obcego, — same swoje słowiańskie, polskie, kaszubskie, pomorskie nazwy. Tu czytasz i zapamiętujesz sobie osady takie jak: Krepa, Niebiedzino, Głuszyno, Klecino, Stojęcino, Święcino, Leśnice, Grabce, Dąbrowa, Karwno, Pogorzeli, Zdrzewno, Kopaniewo — wszystko w powiecie Łebno. Tam znowu inne lgną do serca: Pustkowo, Żelazno, Golice, Przysań, Kleszcze, Unięsty, Trzcica, Łazy, Sucha, Wyszobórz, Żabowo, Wiązowagóra, Okunino, Secemino, Głędzinowo, Jażwinki, Pomianowo — to w powiecie Koszalin.

Jest tych powiatów kilkadziesiąt, a każdy przynosi nowe słoworództwo, nowe bogactwo pięknych, słowiańskich nazwań i mianowań. A więc jeszcze dla przykładu spojrzmy na Kołobrzeg z sąsiedztwem, gdzie złocą się i błyszczą klejnoty takie jak: Bogucino, Nekanino, Czernino, Kędzierzyno, Unieszyno, Pławęcino, Dębogo-

ry, Pustarz, Bezpraw, Niemierz, Wołonośna, Kaczyna, Dźwiszno, Gałęzia, Siemigroźno, Petrykozy, Białokury.

Gdy się czyta te nazwania, przypomina się bulla papieska z 1136 r. dla Jakuba ze Żnina, wyliczająca chłopów pracujących po osadach dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Szacowne, poważne, ziemiorodne, z glebą związane nazwy, szorstkie, twarde, zwirom oblepione głązy lodowcowe.

Dodatkową przyjemność sprawia czytelnikowi map ks. Kozierowskiego porównywanie ich z atlasami niemieckimi. Przekonamy się wówczas, jak płytko tkwi pod zewnętrzną, szpetną osłoną niemiecką polskie, zdrowe, mocne ziarno. Starczy potrudzić się nieco i pomyśleć, aby potem stwierdzić autorytatywnie u naszego uczonego, że Bad Polzin to po prostu Połczyn, Pollnow to Polanowo, Bärwalde to Barwice, Kolziglow to Koziegłowy, Pyritz to Pyrzyce.

Sprawa właściwego odcyfrowania nie zawsze jednak przedstawia się tak jasno. Gdy jechaliśmy z Piły do Szczecina, trafialiśmy nazwy takie jak Kallies, Labes, Reetz, Lipehne, Bahn, Alt-Damm. Nie starczy tu być językoznawcą, aby dotrzeć do sedna sprawy, trzeba zaglądnąć do dokumentu, czyli innymi słowy, do atlasu ks. Kozierowskiego i szukać jego światłej rady.

Dopiero w ten sposób dowiedzieliśmy się, żeśmy jechali przez Kalisz, Łobez, Rzeczyce, Lipinę, Banię i Dąb. Ten Alt-Damm intrygował mnie jeszcze w Poznaniu. Pró-

bowalem tłumaczyć go przez Stara Tama czy coś podobnego. Było to błędne. Niemcy poszli w tym wypadku za wskazówką słuchową, i z „Dąb“ zrobili „Damm“. W dokumentach średniowiecznych figuruje jezioro Dąb.

Jeszcze jedno jezioro było w drodze przedmiotem dociekań ze strony nas, podróżników. Przejeżdżając koło Starogardu, tego zachodnio-pomorskiego Starogardu nad Iną, byliśmy zachwyceni daleką, lśniąca taflą olbrzymie rozległej fali. Pośród ogrodów, zagajów, lasów, wśród dziesiątek will i restauracji, sielankowych ustroni turystycznych, spoczywa ta mała perła jeziora Pomorza Zachodniego, a zwie się Madü-See. Co u licha znaczy ta nazwa? A raczej co w niej tkwi słowiańskiego? Wiadomo przecież, że pola, jeziora, lasy, uroczyska są napewno na Pomorzu Zachodnim czysto słowiańskie. Zaglądnąłem po przybyciu do Szczecina do mego przewodnika, do ks. Kozierowskiego: jezioro Miedwie. Widocznie Niedźwiedź, bo „miodojedzą“ zwał się u Słowian niedźwiedź. Wioska nazwy Niedźwiedź leży koło jeziora Madü-See.

Największą niespodziankę zrobił nam Szczecin. Wiadomo, że od szczeci, traw i sitowia, nazwę wiecie, co Niemcy na próżno przez jakiś czas mianem Borsta wyrazić chcieli, aż zostali przy lekkim zgermanizowaniu polskiego źródłosłowa: Stettin. Zeby dokoła miasta roilo się od słowiańskich osad, wiosek, tego w najbujniejszych marzeniach nie śnił prosty Polanin XX wieku, bo praszczur jego z XII i XIII o tym z doświadczenia, służąc w drużynie Bolesławów.

Podjeżdżamy do miasta od południa. Na lewo Pritzlow. Toż to Przecław. Dalej Scheune. To tłumaczenie z polskiego Gumienno. Dalej Pommernsdorf — Pomorzany, Kretzkow — Krzekowo, Züllichow — Żelechow, Warsaw — Warszewo.

Zaskoczony takimi faktami, zaglądam do map ks. Kozierowskiego. Wszędzie, do samego wybrzeża, to samo zjawisko: Pölitz — to Police, Turglow to Turzęgłowy, Köpitz to Kopice, Stöpenitz to Stopnica, Gollnow to Golonów, Kammin to Kamień, — dziesiątki, setki, tysiące takich przeróbek, przekształceń, przemianowań, z pod których wyziera złoty kruszec słowiańskiej warstwy głębinowej.

Łatwą jest akcją reslawizacyjna w zakresie nazw topograficznych na Pomorzu Zachodnim. Starczy mocno potrzeć zaśniedziałą patynę, a żywa, dźwięczna miedź odezwie się z pod pyłu wieków i zabyśnie dawnym blaskiem na kartce nowej wyzwolonej Polski, tej, o której Niemcy twierdzi, że nie będzie jej już nigdy na atlachach Europy.

Ożyją dawne nazwy, dawne grody, kasztelanie, ziemie, o których tak lekkomyślnie prawie już zapomnieliśmy. Wyraźnie dokumenty mówią o 30 prawie ziemiach tu nad Odrą, które były związane z macierzą z nad Warty, Noteci i Obry. Widnieje przy nich najczęściej rok i wiek XIII z uwagą: „Do Polski“, Versus Poloniam.

Szczególne wzruszenie wywołują w czytelniku zapiski dotyczące nie tyle osad co gór, rzek, jezior, lasów, uroczysk, puszczy. Tu już nie prozą życia codziennego, lecz jakby nastroj religijny, poezja, duch Słowian uwiecznił się najgłębiej. A z zeszytów geograficznych ks. Kozierowskiego wynurzają się raz po raz góry: Czarna, Wysoka, Polska. Jeziora: Brzeźno, Grzybno, Jelenino, Przytoń, Chocibądz. Lasy i puszcze: Mirowska, Dąbrowa Otoczysta. Polskie Sosny, Las Stawin, Kukań.

Gdy odczytuje się te nazwy, zdaje się, że słyszymy szum jezior, śpiew ptaków, które tu żyły, że wdychamy woń lasów, które tu rosły, a przede wszystkim ulegamy złudzeniu, że mówi do nas jeszcze brat nasz, Słowianin, który tu pracował i walczył.

Zdajemy sobie sprawę, że kolegia uczonych, akademie, komisje, dalsze dociekania skryształizują w szczegółach w imionictwie Ziemi Odzyskanych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że mowę dawnych Słowian zamieszkujących te ziemie, zaklął w swych atlasach topograficznych ksiądz Kozierowski w swych pionierskich badaniach i to stanowi jego wielką zasługę.

Stanisław Ostrowski

Wiersz wielkanocny

Podaj tonącym rękę, ucisz fale burzy —

Postokroć Cię zdradzono, lecz Ty zdrad nie liczysz;

Oparł Chrystus wzrok smutny na warszawskim murze:

Krew zaschła plamą rudą — też kielich gorzocy.

Darmo oliwna gałąź gołębiami kwitnie —

Palma granatu ciężko nad ziemią się waży;

Chłopce szesnastoletni, zanim zginiesz szczytnie,

Sekret prawdy ostatniej czytam z twojej twarzy!

Nie nam kołysać dzwony śpiewem Alleluja —

Bo jakże się radością zachłysłnąć: Hosanna! —

Kiedy serca krom bólu niczego nie czują,

A nieszczęście na głowy sypie się jak manna?

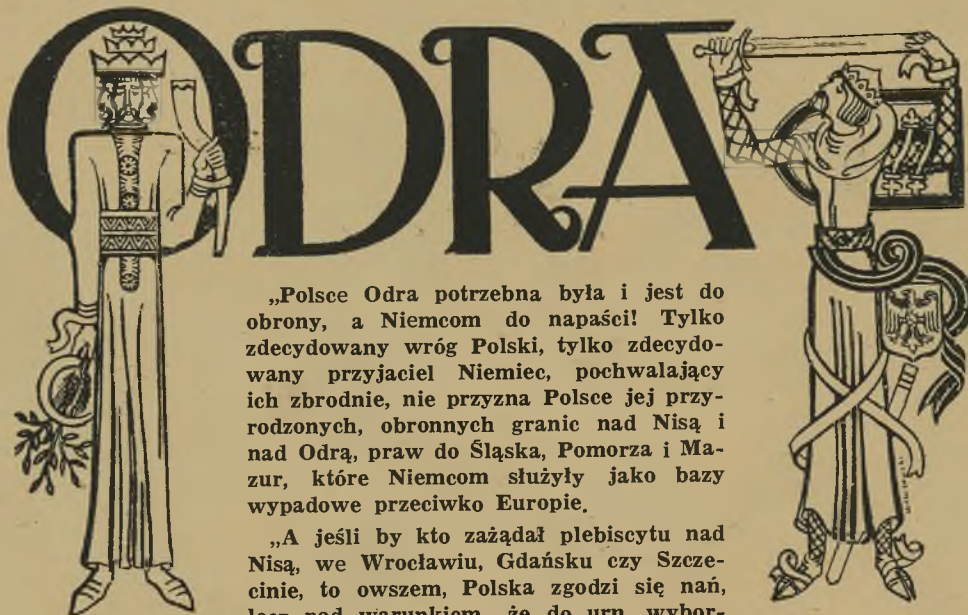
Galilejczyku, cofnij się do schronu grobu —

Niema dla Ciebie miejsca tu, ni dla miłości!

On nie słuchał; szedł jasny i gwarzył ze sobą:

Błogosławieni którzy giną dla wolności.

1944



„Polsee Odra potrzebna była i jest do obrony, a Niemcom do napaści! Tylko zdecydowany wróg Polski, tylko zdecydowany przyjaciel Niemiec, pochwalający ich zbrodnie, nie przyzna Polsee jej przyrodzonych, obronnych granic nad Nisą i nad Odrą, praw do Śląska, Pomorza i Mazur, które Niemcom służyły jako bazy wypadowe przeciwko Europie.

„A jeśli by kto zażądał plebiscytu nad Nisą, we Wrocławiu, Gdańsku czy Szczecinie, to owszem, Polska zgodzi się nań, lecz pod warunkiem, że do urn wyborczych dłoń sprawiedliwa dosypie prochy milionów Polaków zamordowanych w Oświęcimiu, Majdanku, Treblince, Dachau i Katyniu. Niech do głosów wyborczych przylączy się chór wieków nabrzmiały krzywdą wytępiionych Słowian. Niech zażywa głos krwi zniewieczonego ludu.“

(Władysław Jan Grabski: Polska nad Nisą, Odrą i Pasłęką, Lignica 1945).

Irena Barowa

Między legendą a rzeczywistością

Kult, który społeczeństwo amerykańskie zachowało dla Kościuszki nie tylko jako dla bojownika o wolność Stanów, ale jako dla niezwykle szlachetnej indywidualności czerpie swe źródło przede wszystkim w legendzie. Nie umniejsza to w niczym rzeczywistej sławy bohatera, bowiem tylko wokół niezwyklej postaci płonie aureola legendy. Przeciętne życie przeciętnych ludzi nie ma swych mitów. Przekazana tradycją legenda złączona z imieniem Kościuszki upraszcza raczej skomplikowany bieg wydarzeń, z zawiłej molaika historycznych faktów nie wybiera najistotniejszych i ogromnie łagodzi rzeczywistość najeżoną trudnościami płynącymi zarówno z obcości środowiska, braku środków materialnych i nieznajomości kontynentu, który musiał Kościuszek przemierzyć od granic Kanady aż po mokradła puszcz Karoliny, często tylko na własną przedsiębiorczość zdany.

Pożółkła korespondencja, fascykuły pamiętników i dokumentów świadczą o wytrwałej i rzetelnej pracy umysłowej zdolnego polskiego inżyniera, którego legenda chce widzieć przede wszystkim wśród bitewnej wrzawy, z orężem w ręku walczącego o wolność Stanów. Podwaliny tej wolności cementował on tymczasem trafnością strategicznych postrzeżeń, i doskonałością swej fachowej wiedzy wśród długich peregrynacji trwającej całymi miesiącami wśród stepu i gór, poprzez mokradła i dziewicze puszcze.

Legenda Kościuszki — ochotnikowi armii amerykańskiej tuż po przybyciu do Stanów przypisała następujące spotkanie z naczelnym wodzem Jerzym Washingtonem.

W New Yorku, w głównej kwaterze między tymi dwoma niezwykłymi ludźmi miała się rozegrać jesienią 1776 następująca scena:

— Czego pan tu szuka — lakonicznie pytał Washington prezentującego się Polaka.

— Przychodzę walczyć, jako ochotnik, za amerykańską niepodległość — odparł po prostu Kościuszek, a ponieważ odpowiedź to wydała się Washingtonowi w porównaniu z zarozumiałymi i wielce wygórowanymi żądaniami innych cudzoziemców szczerą, a przede wszystkim bezinteresowną, łagodniejszym tonem spytał jeszcze:

— What can I do for you? (Co dla Pana mogę uczynić?)

— Try me! — padła tym razem lakoniczna odpowiedź z ust Kościuszki. Tak chce legenda. Chociaż Kościuszek, znacznie później spotkał się z Washingtonem, a nigdy nie był jego adiutantem (jak również chce legenda), to przecież w rzeczywistości niczego bardziej nie pragnął niż wypróbowania swych umiejętności, swej przydatności fachowej przez wojskowe dowództwo amerykańskie. W tym przecież celu zamiast antichambrować u wpływowych osobistości, po prostu zaraz po swym wylądowaniu w Filadelfii, którą na gwałt w sposób wielce domorośli i przypadkowo fortyfikowano, przedłożył Kongresowi projekt właściwych umocnień. Na rezultat swego memoriału nie czekał zbyt długo. Z polecenia wydziału wojennego dnia 24 października 1776 r. wydano przekaz do bankiera p. Nesbitt na korzyść Monsieur Kościuszko, na sumę 50 funtów szterlingów, jako nagrodę za plan fortyfikacji przylądka Billinge, a o kilka dni wcześniej przysłano pateten, t. j. nominację na pułkownika inżynierii z pensją 60 dolarów miesięcznie.

Kościuszek dał się więc „spróbować” — zdobył wielką szansę życiową, zaufanie do swej wiedzy i umiejętności, szczęście miał jednak tylko w legendzie. Życie krzyżowało mu plany. Oto warownia Billingsport została przez powstańczą armię ewakuowana dnia 13 grudnia, a w poprzek projektom fortyfikacyjnym, jakie przedstawił wezwany do umocnienia kluczowego punktu u zbiegu jezior Champlain i George, stanowiących ważną pozycję strategiczną pozwalającą na utrzymanie północnej części Stanu New York, stanął nieudolny, ale za to mający wcześniejszy patent pułkownika inżynierii Francuz Baldwin.

„Niech Kościuszek wróci tutaj, na miłość Boga i to jak można najprędzej — pisał rozpaczliwie do głównej kwatery wysłannik Washingtona z fortecy Ticonderoga, oceniający trzeźwo sytuację, Wilkinson. Niestety straconego czasu nie dało się już nadrobić. Otoczeni przez armię generała Burgoyne powstańcy ujrzeni na szczytach wzgórz Hope i Defiance, które Kościuszek pragnął obwarować i zamienić na reduty artylerii — armaty — ale angielskie.

Gdy angielski sztandar załopotał z murów pośpiesznie i cicho ewakuowanej fortecy „na złą dolę skażany Kościuszek — zapisał w pamiętnikach towarzysz odwrotu Wilkinson — był wtedy, jak w poprzednich miesiącach, współnikiem mojej kołdry, pod którą sypialiśmy razem.” Pierwszy więc raz zbiegiem okoliczności, drugi fałszywymi ambicjami i zawiścią ludzką zostały unicestwione pomysły Kościuszki, pomysły przemysłane i oparte na głębokiej znajomości strategii.

Szczęśliwa gwiazda zabłysła mu dopiero wśród puszcz i bagien u jeziora Saratoga, nad pogórkiem Behmisa. Dzisiaj amerykańscy kuracjusze bawiący się bez troski w luksusowych hotelach, zażywając ożywczych kąpeli i odbywając przyjemne promenady na wzgórze Behmisa, tylko w chwilach narodowych uroczystości uznysławiają sobie rolę jaką odegrało to wzgórze i polski inżynier o trudnym do wymówienia nazwisku „Koskeusko”, w dziejach Stanów Zjednoczonych.

Intuicja Kościuszki i jego roztropność sprawiły, że wśród dziewiczej puszczy wyrosłej na gruncie bagnistym, wśród leśnych pagórków, na wąskiej przestrzeni, między rzeką Hudson a jeziorem, wybrał właśnie to najwyższe wzgórze za główną pozycję artylerii, wiedząc, że pod jej ostrzałem żadna armia świata nie zdoła bez poważnych strat sforsować dziesięciokilometrowego przesmyku. Ta sama intuicja i doskonała znajomość rzeczy pozwoliły mu odnieść sukces nad inżynierem Radier, który zapoczątkował roboty nad umocnieniami słynnego West-Point. I nie tylko to zadecydowało o przewadze Polaka, zadecydowały również cechy jego charakteru. Jenerał Dougall 13 kwietnia 1778 roku pisał do Washingtona: „Pan Kościuszek, zdaniem tych, którzy oglądali

Wojciech Bąk

* * *

Nie kopano im grobu, ale wielki rów
Bo jakiś grób te ciała zechciałyby pomieścić.
Te ramiona bez dłoni, kadłuby bez głów,
Krwawiące żniwo ludzkie — i owoc boleści!
Nie kopano im grobu, ale wielki grób
I w grobie można w wieczność płynąć, czule drzemiać..
Nie było modłów siewnych, pożegnalnych słów —
Tylko rozmowa łopat z rozkopaną ziemią.

Nie kopano im grobu, ale wielki rów
Tym ramionom bez dłoni, kadłubom bez głów!

* * *

Dotykaj słów ostrożnie! Jeszcze nie zarosły —
A to są rany! Mogą pod palcami krwawić.
To krwawią lata smutku i rozpaczę wiosny
I jesienie zawodów i zimy bezprawi!

Hańbo, znam twoje imię! Klęsko, znam lzy twoje!
Gorzkie noce wygnania, chlebie zły niewoli!
Więc dotykaj ostrożnie drżące słowa moje,
Bo blizny nie zarosły, każdy dotyk boli.

Bo to są rany! Jakbyś chciała ziemi dotknąć,
A to jest biedne ciało, zhańbione i zbite —
I słowa — wylatujące muzyką tak słodką —
Są zachwytem — lecz jakże krwawiącym zachwytem.

* * *

Świt dziś nic nie zrozumiał! Gdy powinien płakać,
On wybucha hymnami zachwytu i blasku!
Ciągłe mu blasku mało! Złoto niebem płynie.
I horyzont nie niebem zda się być, lecz łaską.
A przecież w tejże chwili, z tegoż łaski nieba
Opadają stosami bomby w trwogę miasta —
I świt tryumfując złotem łaski śpiewa,
I świt grobowy grzebie — i zwaliskiem wzrasta.

roboty w West-Point, ma więcej praktyki od pułkownika Radiere i sposób jego obchodzenia się z ludźmi jest przyjemniejszy, niż tego ostatniego.” W tydzień później otrzymał gen Dougall decyzję naczelnego wodza, która słuszną dumą mogła napełnić serce polskiego cudzoziemca. Washington pisał:

„Ponieważ pułkownik Radiere i pułkownik Kościuszek nigdy nie zgodzą się na jedno więc sądzę, że lepiej będzie kazać Radierowi, żeby wracał tym bardziej, że jak pan powiadasz, Kościuszek lepiej się nada do charakteru i ducha ludu naszego.” Czyż taka opinia nie wydaje się bardziej wzruszająca przez swą lakoniczną rzetelność, niż wszystkie powiastki o dobrym sercu Kościuszki, który w West-Point ze swego skromnego żołdu zasiliał jeńców angielskich!

Czy dowodem odwagi, rzutkości, przedsiębiorczości, poświęcenia, inicjatywy i poczucia pełnej odpowiedzialności nie jest ekspedycja, jaką niemal samotrzeć wykonać musiał 8 grudnia 1780 r. z polecenia generała Greene, wzdłuż zdradliwej, niezbadanej rzeki Pedee? Sporządzić mapę grząskich bagien, wyznaczyć odpowiednie brody, zbadać możliwości zaprowiantowania dla armii, zorientować się w środkach komunikacji kraju dzikiego, mało dostępnego, w ciągu miesiąca i wysłać tak dokładny raport, że przyznano mu oficjalnie „wielki wpływ na przebieg wyprawy” — to zdaje się było większe i bardziej znamienite dzieło niżli dowodząc pułkiem zdobyć w ogniu bitwy kilka pozycji nieprzyjacielskich! Kościuszek zwyciężał w Stanach Zjednoczonych przede wszystkim groźną, nieprzystępną przyrodę, ujarzmił nurt rzek, wytyczał brony i szlaki wśród puszcz i trzęsawisk, zdadne dla transportu broni, żywności i ludzi, wyznaczał na skałach reduty i wznosił forty. Znajdował się również nieraz i w bitewnym ogniu, chociażby wówczas gdy objeżdżał z gen. Groen fortedzkę Ninety Six, czy gdy zajmował 14 grudnia 1782 r. Charleston. Był więc doświadczonym inżynierem, wytrawnym dowódcą, śmiałym do szaleństwa żołnierzem, ale najważniejsze — był jeszcze niezwykłym, wspaniałego charakteru człowiekiem. Zwierzchnik jego, generał amerykański Green nie pisał przecież czczych pochwał, zaliczając go do „naj-

użyteczniejszych i najmiłszych” towarzyszy broni, niczem nie zrównanej gorliwości, czujności, staranności...”, mówiąc, że wyróżniał się „bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań, albo pretensji dla siebie samego, nigdy nie pominął sposobności odznaczenie i zalecenia cudzych zasług”. Chwalebne świadectwo, nie przesadzone w niczym. Kościuszek dopiero opuszczając szeregi amerykańskie, po zakończeniu szczęśliwej wojny, został zaszczycony jeneralskimi szlifami, które inni nosili już dawniej, chociaż nie mieli za sobą ani Saratogi, ani West-Point, ani wielu lat zmagania się i zwyciężania żywiołów ziemi i wody, puszcz i stepów, nie mieli za sobą niewygodnych dalekich podróży, wśród których nie rzadko dokuczał głód, mróz, lub skwar słoneczny, ale zato... mieli bardzo giętkie karki.

Kościuszek był skromny, ale i dumny, szlachetną dumą człowieka mającego poczucie istotnej swej wartości i dlatego przybywszy po raz wtóry do Ameryki w r. 1797 podziękował Washingtonowi za zaproszenie i gościnę w jego rezydencji Mount-Vernon, a u swego dawnego bezpośredniego zwierzchnika gen. Gates, mieszkającego koło New York, bawił kontentując się dwupokojowym mieszkaniem wynajętym w Filadelfii, w mieście, które stało się przed dwudziestu laty progiem jego sławy na drugiej półkuli.

Witała też Filadelfia ранego, schorowanego, bezdomnego, ubogiego tułacza Kościuszkę, byłego więźnia carowej Katarzyny z godnym zazdrości zwycięscy entuzjazmem i gdy na pokład „Adriany” wstąpili obywatele amerykańscy, wzruszony do głębi powitaniem Kościuszek mógł tylko zdobyć się na krótkie, ale jak istotne w treści oświadczenie: „Uważam Amerykę, jako drugą moją ojczyznę i czuję się nader szczęśliwym, gdy do niej powracam.” Mógł więc spokojnie w tej drugiej ojczyźnie życia dokonać; generalska pensja z zaległymi procentami, kawał ziemi przyznanej na własność, jako żołnierzowi z wojny o niepodległość Stanów nie stanowiły przecie dostatecznej ponęty, gdy doszły go echa z własnej nieszczęśliwej Ojczyzny, gdy świtały nowe możliwości walki o jej wolność.

W Washingtonie, na zadrzewionym Lafayette Square, w rogu Vermont Avenue wznosi się pomnik Kościuszki dłuta Antoniego Popiela. Pomnik ten sprzed dziesiątków lat jest osobliwym symbolem naszych dni; Na szczycie granitowego cokołu stoi Kościuszek w trójgraniastym kepi, w stroju pułkownika armii amerykańskiej z czasów powstańczych. Troska i tęsknota pobruździły mu stanowczą, zdecydowaną twarz. U swych stóp ma półkule Starego i Nowego Świata, Europy i Ameryki. Po prawicy, w dole cokołu amerykański oficer rozcina pałaszem więzy amerykańskiemu koloniście, po lewicy kosynier spod Racławic podtrzymuje słaniającego się, powalonego śmiertelnym pchnięciem oficera polskiego, podającego martwiącą dłonią swą szablę chłopskim rękoma. Konający oficer — to przedstawiciel Polski przeszłości, Polski szlacheckiej, a kosynier, chłop — to reprezentant Polski nowej, którą przecież chciał wywalczyć powstaniem Kościuszek. Na pomniku prócz imienia bohatera napis: Saratoga — Racławice i fragment wierszu Campbella — And freedom shrieked as Kościuszek fell.

Zestawienie Racławic z Saratogą, wydawałoby się na pierwszy rzut oka może zbyt śmiałe. W bitwie pod Saratogą Kościuszek nie był przecie ani dowódcą, ani nawet zapalczywym na czele własnego pułku walczącym żołnierzem, a przecież głównodowodzący zwycięską armią powstańczą generał Horacy Gates donosząc Kongresowi o sukcesie pisał „Pułkownik Kościuszek wybrał i oszańcował pozycję” — i to istotnie zadecydowało o zwycięstwie, a zwycięstwo pod Saratogą stanowi w historii wojny o niepodległość Zjednoczonych Osad punkt zwrotny, równie w skutki brzemienny, jak proklamowana dnia 4 lipca 1776 r. przez Kongres w Filadelfii niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Jan Reychman

Czechosłowackie pretensje graniczne

Aczkolwiek postulatem kół niepodległościowych Czechosłowacji w ciągu minionej wojny był powrót do stanu przedmonachijskiego, to jest do granic Czechosłowacji z r. 1937, to jednak w miarę rozwoju wypadków aspiracje te wzrastały; gdy też skutkiem przyłączenia Ukrainy Zakarpackiej do ZSRR i tak granice Czechosłowacji przedmonachijskiej okazały się nie do utrzymania, zagadnienie nowych granic Czechosłowacji stało się problemem dnia i zajmuje sporo miejsca w prasie i publicystyce czeskiej.

Zagadnienie pretensyj granicznych Czechosłowacji ma swoje oblicze maksymalne i oblicze minimalne. Oblicze maksymalne, reprezentowane na przykład przez „Sdružení za spravedlive hranice CZSR” organizowane przez Ot. Prusa pragnie jakiegś olbrzymiej nowej Czechosłowacji z granicami na Cisie, Dunaju, Rabie, Łabie, Sprewie, Elsterze, Odrze, Wiśle. Postulaty minimalne ograniczają się do szeregu mniejszych lub większych poprawek granicznych, umotywowanych względami strategicznymi, etnograficznymi, gospodarczymi, komunikacyjnymi.

Śród pretensyj granicznych Czechosłowacji wyodrębnić należy: 1. Śląsk, 2. Korektury na zachodniej granicy, 3. Pretensje do t. zw. Pola Morawskiego i obszarów na przedpolu Wiednia, 4. Zagadnienie „korytarza” do Jugosławii, 5. Poprawki od strony Węgier, na Słowacji, 6. Sprawa spisko-orawska na pograniczu z Polską.

Jeśli chodzi o Śląsk, to dwa tu są interesujące opinie polską zagadnienia: sprawa kłodzka i sprawa granicy na Śląsku Górnym (Głubczyckie i Raciborskie). Ponieważ sprawy granicy na Śląsku są bardziej znane polskiej opinii, ograniczymy się tylko do krótszego zreferowania czeskiego punktu widzenia. Otóż Czechosłowacja żąda przyłączenia Kłodzkiego do Czechosłowacji, motywując to z jednej strony względami etnograficznymi i historycznymi (przynależność kłodzkiego do Moraw umotywowana rzekomą czeskością ludności na pograniczu, i faktem przynależności tego terenu do Moraw do r. 1742, która to przynależność zostawiła swe ślady w postaci pozostałej organizacji kościelnej) z drugiej zaś strony względami geograficznymi i strategicznymi. „Kłodzki cypel” pisze dr. J. Korczak w artykule „O hranice naszeho statu” w tygodniku „Svobodni Zitrzek” nr. 2 z 1945 — „przedłuża naszą granicę na 145 km a przy tym zagraża na najczulszym miejscu naszej sieci komunikacyjnej: granica w Kłodzku jest zaledwie o 28 km odległa od Czeskiej Trebove, najważniejszego naszego punktu węzłowego”. Koncepcja czeska uważa Kłodzkie za geograficznie część ziemi morawskiej, część obszaru sudeckiego. „Przynależność Kłodzkiego do ram Sudetów, a przez to i do masywu czeskiego nie jest żadnym problemem, jest to nagi fakt — pisze prof. V. Dedina w ciekawym artykule „Prirozenne hranice” w tymże tygodniku „Svobodni Zitrzek” z 20 grudnia 1945, dodając do tego jeszcze względy strategiczne: — „należy też zwrócić uwagę na to, że Bramą Kłodzką to jest wylot Nisy Kłodzkiej na Śląsk (koło miasteczka Warty — jak znacząca i historyczna nazwa) można bronić tylko z czeskiej strony, oczywiście nie przeciw Polakom, ale przeciw ewentualnemu napadowi Niemców, którym udałooby się przedrzeć na polski Śląsk Dolny...”

Druga kwestia graniczna na Śląsku, która absorbuje opinię czeską w równym stopniu jak sprawa kłodzka, to zagadnienie głubczyckiego i raciborskiego. „W średniowieczu północną granicą Moraw była rzeka Pszczyzna” — pisze w cytowanym artykule J. Korczak — „a najbardziej na Północ wysuniętym miastem był Prádník (Neustadt am Neisse). Także i ten obszar zachował pierwotną przynależność kościelną do Moraw i język czeski.” Potrzebę przesunięcia granicy nad Pszczyzną motywuje się również względami strategicznymi: „Powrót do starej granicy na Pszczyźnie koniecznym jest nie tylko ze względów gospodarczych (łączność Opawy i Karniowa z ich zapleczem zaopatrzeniowym właśnie na Górnym Śląsku) ale i wojskowych: Ostrawę należy zabezpieczyć nie tylko jako najważniejsze centrum przemysłowe Czechosłowacji, ale i jako

przedpole t. zw. Bramy Morawskiej, która nie może być broniona z Polski, ale tylko z Moraw” — pisze dalej Korczak, domagając się przesunięcia granicy „choć ku Odrze i Pszczyźnie”. Na mocy art. 83 preliminarów wersalskich z 7 maja 1919 przyznano Czechosłowacji całe Głubczyckie, ale ostatecznie — przy znanych nam względach, z których korzystały wtedy Niemcy — przyznano jej tylko Hulczyńskie.

Poza tymi żądaniem, które popierane są przez koła oficjalne i półurzędową propagandę, są jeszcze aspiracje dużo dalej idące; artykuł „Spravednost Czeskoslovensku” w piśmie „Kruh” (nr. 2 z 1. II. 1946) mówi o granicy na Odrze z Wrocławiem, która jest „geograficznie idealna”; z Górnej Odry granica przebiegać ma ku Wiśle.

Z kolei wysuwa się cały szereg problemów odnośnie do zagadnień granicy zachodniej Czechosłowacji. Oprócz dorzecza Nisy Kłodzkiej, wedle czeskich publicystów (np. Prof. Dedina) — „do ram masywu czeskiego należy jeszcze obszar Nisy Łużyckiej na północy. Na dorzecze to mamy przyrodzone a też i historyczne prawo, zwłaszcza o ile ta rzeka płynie w obszarze Gór Łużyckich i jej podgórze.” Podkreśla się, że Łużyce należały do Czech do 1635, a i potem prawa korony czeskiej do tej ziemi były uznawane. Zagadnienie stosunków Czechów do sprawy łużyckiej poruszyliśmy osobno, i dlatego ograniczamy się tu tylko do pobieżnych tych paru uwag.

Poza sprawą łużycką poruszane są sprawy zmian granicznych w terenie górskim, ograniczającym Czechosłowację od Zachodu. Manifestacyjne zgromadzenie 2 lutego 1946 w Teplicach miało wśród uchwał żądanie „zbocza Gór Kruszcowych opadających na stronę saską ze względów wojskowo-strategicznymi, dalej całą Szumawę z przyległą okolicą opadającą ku Bawarii tak ze względów strategicznych jak i jako nagrodę za zniszczone lasy chodzie” (cyt. za „Sever” w Usti nad Orlicą nr. 4 z 1946). Prof. Dedina w cytowanym już przez nas parokrotnie artykule o granicach naturalnych mówi, że „w Górach Kruszcowych, w Lesie Czeskim i na Szumawie trzeba będzie w terenie przygranicznym przeprowadzić niektóre lokalne korektury zwłaszcza przy tak zwanej Wszerubskiej Bramie oraz w okolicy jezior szumawskich”. „Svobodne Slovo” z 9 października 1945 doniosło o manifestacji odbytej w pogranicznej miejscowości Żelezna Ruda, na której domagano się zmiany granic w obrębie Gór Szumawskich a przede wszystkim przyłączenia całego masywu Jawora do Czechosłowacji.

Jak i w innych terenach tak i tu obok tych postulatów wyrażających dążność do pewnych poprawek granicznych odzywają się głosy, żądające granic dużo szerszych. Związek „O sprawiedliwe granice dla Czechosłowacji” żąda od Odry granicy kanałem Odra — Szprewa, Szprewa, linią jezior, Łabą do ujścia Czarnej Elstery, następnie przez Smrcznik do ujścia Wilicy i do Dunaju przy Rotyżbonie i dalej Dunajem. Granica więc pomyślana bardzo szeroko, daleko wybiegająca poza dotychczasową.

Na południu wyłania się tu interesująca sprawa czeskich pretensyj do pewnych terenów austriackich na przedpolu Wiednia. Pretensje te formułuje J. Pravda w artykule „Piet pohranicznich otazek dozrava” (w tygodniku „Masarykuv lid” nr. 8, 1946) „Jako czwarta kwestia” — pisze J. Pravda — „specjalnie ostrego znaczenia nabywa sprawa czeskiego przedpola w Austrii (t. zw. Vitorazsko, obszary nad rzeką Dyją lub Zayą, przedpole breclawskie z czeską ludnością Czahnowskiego, Czystejowskiego, Mistelbachu aż po Morawskie Pole...” Korczak we wspomnianym już wyżej kilkakrotnie artykule wskazuje, że tereny te należały ongiś do Moraw i jeszcze pierwszy monarcha z rodu Habsburgów obiecał Wacławowi I zwrócenie tych ziem, ale „obietnicy nie dotrzymał”. Dedina w artykule o granicach naturalnych pisze, że „granicę obszaru nad Dyją (Zayą) a przez to i południową granicę ziemi morawskiej należy poprowadzić od dorzecza górnej Lużnicy na Vitorazsko do punktu Kazatelni (718 m), stąd do Kamiennego Stołu

(585 m) na Bukową Górę (416 m) i Lyskie pogórze, a stąd dalej na południe i południowy wschód po rzekach dolnej Morawy, tak że pamiątkowe Pole Morawskie wróciłoby do Moraw.”

Z kolei ze sprawą korektur na granicy z Austrią łączy się sprawa ewentualnego „korytarza” do Jugosławii. Sprawa ta ma swoją starą przeszłość. Połączenie Czechosłowacji z Jugosławią dla stworzenia tym sposobem jednolitej bariery słowiańskiej przeciw naporowi niemieckiemu planował już w czasie poprzedniej wojny obecny prezydent Benes w swojej propagandowej broszurze „Detruisiez l'Autriche-Hongrie”. Miałyby to być wąski pas wzdłuż granicy austriacko-węgierskiej, którego granice wschodnie byłyby wzdłuż rzeki Raby, granica od Austrii byłaby na krótkim odcinku od Dunaju do gór Litawskich sztuczna, ale już dalej na południe biegłaby jako granica naturalna grzbietem gór Litawskich, biegiem rzek i grzbietów alpejskich. Wedle artykułu J. Pravdy „Vseslovanska vzajemnost a solidarita politicka” („Masarykuv Lid” nr. 6 z 1946) „na terenie korytarza wedle godnych zaufania statystyk austriackich i węgierskich żyje ok. 124 000 Jugosłowian obok paru dziesiątek tysięcy Słowaków, w rzeczywistości zaś ok. pół miliona Słowian”. Chociaż nie ma tam żadnego zwartej słowiańskiego obszaru, to jednak osady słowackie, słoweńskie, chorwackie ciągną się tym pasem od granicy czeskiej aż po jugosłowiańską, o czym dobrze zresztą wiedzą żołnierze polscy, którzy w czasie obecnej wojny byli internowani w obozach na Węgrzech w Szarvar, Bregenc-major, Kiscenk, Lenti, Moson, Nagy-Kanizsa. Z tego terenu pochodził też Słowak czy Słowieniec Maciej Kamiński, twórca pierwszej opery polskiej w XVIII w. rodem z Oedenburga.

Jeśli chodzi o granicę od strony Słowacji, to tutaj wysuwana jest sprawa przedłużenia granicy ku wschodowi wzdłuż Dunaju aż poza Szob. Tym sposobem całe Góry Nowohradzkie, dostałyby się do Czechosłowacji. Mowa też jest o Dunaju nie po Szob, ale aż po Vac (Waców). Od Dunaju granica biegłaby więc górami nowohradzkimi, Matrą, górami Bukowymi (Bükk), Hegyalią i Górami Slanskimi, przy czym znów na odcinku silickim, między Tornalą a Torną dojść by musiało do znacznej korektury na korzyść Słowacji. „A odtąd cały ten wulkaniczny wieniec” — pisze w swym artykule Dedina — „Novohradu, Matry, gór Bukowych, Hegyali, gór slańskich to przecież dana przez przyrodę, naturalna granica Słowacji”. I znów obok względów narodowościowych (okolice te silnie są zaludnione przez Słowaków) wysuwa się momenty obronności oraz względy komunikacyjne: wszak obydwie magistrale, łączące wschodnią Słowację z zachodem bieżą terenem górskim bardzo niewygodnym; jedyne możliwe połączenie byłoby dolinami rzek Bodawy, Slany i Ipoli, które musiały być przyłączone do Słowacji.

Wreszcie jedna jeszcze drobna sprawa graniczna — poza znany już zupełnie u nas i zupełnie odrębnym zagadnieniem Zaolzia, które jest wedle Czechów „poza dyskusję” — wysuwana jest w Czechosłowacji właśnie odnośnie do słowiańskich granic: jest to kwestia spisko-orawska. Jak wiadomo Niemcy w 1940 r. oddali Słowacji wsi spiskie i orawskie tak te, które Polsce przypadły w 1920 respective 1924, jak i nabytki z 1938 r. Obecnie przywrócona jest granica z przed 1938 r., ale ze strony słowackiej nie brak głosów domagających się zwrotu i tych wsi spisko-orawskich, które były w Polsce przed 1938. Bratysławski „Czas” z 15 grudnia 1946 pisał, że Słowaków „interesuje zagadnienie naprawienia granic w północnej Orawie i na Spiszu”, że „naruszenie historycznych granic Słowacji w r. 1920 było wynikiem kompromisu, który Słowacy ponieśli na rzecz ziem czeskich”. że fakt, „że Czechosłowacja zwróciła Polsce ziemie, które ona sobie „przywłaszczyła” w r. 1920 nie może znaczyć jakoby „zrzekała się ona historycznych granic czechosłowacko-polskich”. Uchwała „Związku Młodzieży Słowackiej” w Trstenej na Orawie ogłoszona w tymże dzienniku „Czas” z 19 grudnia 1945 żąda respektowania na Gór-

nej Orawie woli ludu i położenia kresu temu, aby „17 tysięcy rdzennych Słowaków miało cierpieć pod przemocą Polski”. Wreszcie artykuł V. Novanskiego „Na margo rokowania s Polskom” z „Czasu” z 22 stycznia 1946 żąda, aby miało się wzgląd w sprawie spisko-orawskiej na wolę ludu tamtejszego i aby „ewentualnym plebiscytem zostało rozstrzygnięte, gdzie ten lud chce żyć, w republice czechosłowackiej czy w Polsce”. Tak samo i artykuł „Spravednost Czeskoslovensku” („Kruh” nr. 2) podaje, że cypel podhalański nie będzie stanowić niebezpieczeństwa dla Czechosłowacji, gdyż jest za wąski do tego, aby stanowił ewentualną bazę operacyjną „z założeniem, że nam będą zwrócone terytoria na Spiszu i Orawie odstąpione Polakom w r. 1920”.

Na wschodzie granica byłaby utrzymana na rzece Ung i Laborec aż po Czop, następnie Cisą a następnie raczej porzucając granicę naturalną ku zachodowi, aby przeciąwszy znów Cisę dojść do Slany i gór na pograniczu słowacko-węgierskim.

„Stary Śląsk był przed dwustu laty zrabowany nam przez Niemców. Górne i Dolne Łużyce dotąd do nas prawnie należą. Żądamy sprawiedliwego poprawienia i strategicznego umocnienia granic na Szumawie, Vitorazsku, na południowych Morawach i Słowacji. Żądamy korytarza do bratniej Jugosławii”. To są w sumie hasła „Związku walki o sprawiedliwe granice dla Czechosłowacji”. Aczkolwiek czyniki urzędowe tak daleko w swych pretensjach nie idą, to jednak nie tamują one tej propagandy, która być może obliczona jest na wyrost, tym niemniej obok dziesiątek innych zagadnień granicznych wysuwa się dziś jako zagadnienie międzynarodowe w Europie Środkowej.

Jan Baranowicz

MIEDZA

I.

Wpięte w złotą obręcz horyzontu,
niewiązane łysym płotem ścieżek —
in principio erat... na początku
było pole — gdy Bóg — „stań się” —

przerzekł.

Szumiał człowiek samotnym jesionem
co przełaja pieśnią brał na szlaki — —
Pękło pole na klepki stajonek.
Zwiądl człek-jesion. Wszelki ludzie-krzaki.

Domorośli swojcy geometrzy
szwami miedzy skrępowali składy —
Tak upadła wolność polnych rzeczy,
by się skrudłem z zagonami wadzi.

II.

Ty jesteś jak zielony poemat,
który napisze wiejski Koźmian,
strojna w jeleni nocny przemarsz
jako niwa w płodozmian.

Tyś niepisany gminy prawem,
Ściegą, co pachnie jaźwców ruja.
Tyś czyśćcem, gdzie dziady chropawe
grzech cheiwy odpokutowują.

W twe perze wzał się pniak grubaśny
maćkowej gruszy o stu dziuplach —
gdzie wiatr — bywalec plótl mi baśnie,
ledwom ze spódnicy się wysupiał.

III.

Krawężnik miedzy, choć nie wolno,
pług zębem tyrpie wygłodzony —
Choć szersze o reformę rolną,
wciąż pole chude ma zagony.

Opalam się na kolor śliwy.
Z miedzy Krasula owies smyka —
Myśle: — zabronię, sprawiedliwy,
to na wieczkę skąpiej mleka.

Myśle: — bezmiedzną niebo płachtą
— a — jako w niebie — tak na ziemi —
Niechże zaorze miedzę traktor
i ziemia — niebem się przestrzeni. —

Wojciech Żukrowski

MIŁOŚĆ

Jest już prawie ciemno. Teresa chciałaby się pozbyć przyjaciółki, czuje już ciężar jej obecności. Czyż można ją zresztą nazwać przyjaciółką? Widzi jej palce rozjaśnione żarem papierosa i twarz zmętniałą za obłokiem dymu.

Teresa odwraca się do drzwi balkonowych. Daleko za parkiem mży burym, nieczystym odbłaskiem centrum Paryża i raz po raz błyskają zielone ognie elektrycznych wyładowań. Oczy nie mogą dosięgnąć nieba. Niskie obłoki w tym świetle ciążyą jak wyprute wnętrzości w pobliskich jatkach, dymy nieustannie pełzają ukosem ponad wieże, a ponad domami wisi miedziana sieć drutów, przewodników i anten.

Z dołu wciska się szparami ciepły zapach kipiącego asfaltu. Robotnicy ochładzani płomieniem mieszają w ogromnym kotle. Zapadająca ciemność, niezdrowa i zetałała, wydobywa z nich kształty potępieńców. Klaksony aut, holowniki na Sekwanie jęczą. Warkot sąsiedniej drukarni przebiega drżeniem po murze. Miasto gada. Jest to jakby żałosny bełkot kontuzjowanego żołnierza, który próbuje odnaleźć w tych nieporadnych dźwiękach — powszednie słowa pozdrowienia.

— Cóż ty możesz wiedzieć o miłości, mówi spokojnie, potem nie chcąc dopuścić do dalszych zwierzeń, zapala światło. Za oknem nagle robi się noc. Ewa ma oczy przysłonięte powiekami. Milczy. Jest piękna, to musi jej Teresa przyznać. Jest piękna jak amfory greckie, których kształt podziwiamy, dopóki twarz nasza nie nachyli się nad otworem, gdzie z czarnego wnętrza paruje woń uwiedłych kwiatów, wilgoci i śmierci.

— Może masz słuszość, mnie nikt nie kochał tak, jak ciebie Laurent, mówi nagle trochę drwiąco. Potem łagodzi wszystko uśmiechem, który odsłania równe zęby i dziąsła bledsze od warg, jakby powleczone nalotem.

— Ach, Laurent, Laurent...

Ewa też wstaje jakby to imię było hasłem pożegnania. Wychodzą obie. Tłusty, brunatny dym wrzącego asfaltu dławi w ulicy. Zaraz, prawie pod bramą żegnają się. Teresa skręca w dzielnicę willową.

Płyty świecą od niedawnego deszczu. Nawet tutaj pachnie zroszona ziemia i cierpkie drzewo. U dna nocy czuje się niepokój przebudzenia.

Nagle niebo na południu rozjaśnia się jak rozdmuchane popielisko. W srebrnym brzasku widzi pozwijane obłoki podobne do wypchanych tobołków. Idzie wiatr. Ciepły wiosenny wiatr. Teresa czuje muśnięcie jego przelotu. Przystaje, oto lekkie dotknięcia na powiekach, szyi, jak opłynięcie, radosne rozpoznanie znajomego ciała. Oto z powietrza stężalego wyłaniają się dłonie, opierają o piersi, dłonie świadome swego prawa i jej uległości. Teresa zdziera rękawiczki, rozpina płaszcz. Pije ciepły oddech.

To znowu idzie wiosna: Czy jeszcze raz ma prosić o miłość, gdy zaczną ukazywać się liście, gdy klomby fioletem dymią w parkach, a ławki zaroją się od całujących par... Czy ma dotrzymywać kroku tej nowej wiosnie? A może lepiej modlić się o łaskę niewiedzy i przemijania, o łaskę odrętwienia i rychłego snu?

Czyż jest ktoś na ziemi i niebie, kto pragnie jej smutku, domaga się by cierpiała?

Ciepłe krople spływają jej po twarzy. Ale to nie deszcz, to łzy. Z wiatrem ulatują grube ziarna piasku, uderzają o wyciągnięte dłonie. Ta wiosna nie niesie ukojenia, suszy wargi i wzmaga pragnienie.

Odwraca się. Wiatr popycha ją niedbale, ciskając na blaszane dachy garściami płasku.

Ten wiatr przebiega nad całą Francją, pustynny i gorący, tam na południu nazywają go sirocco, gaskończy — mistral, tu w Paryżu, mówi się tylko bezosobowo — ależ dmie.

Ojciec Jan słyszy go jak przelatuje tętniąc ponad dachem kościółka. Nadśłuchuje chwilę. Pęknięte szyby wibrują grają półtonem. Daleko nieustanny szum.

Ojciec Jan wchodzi teraz do zakrystii, otwiera wieka barokowych skrzyń służących za ławy, szuka szmaty. Nie należy to do niego, ale trzeba skorzystać z ostat-

niego światła jakie pada od otwartych drzwi. Bielone ściany odpychają piwnicznym ziąbem.

Kłeka, podwija biały habit wysoko, jak to zwykły kobiety zmywające podłogi. Kaptur opada mu na oczy. Ściera mnóstwo nabłoconych śladów, które świecą wilgocią w półmroku. Odcisnięte podkówki, nanieśli zbutwiałych liści i mierzwy. Nawet poznaje tropy psie podobne do czarnej koniczyzny. Zmywa szmatą, spłukując ją w cebrzyku, który wleczę za sobą.

Jeszcze cztery dni dzwony milczą. Przed chwilą skończyła się droga krzyżowa. — Upadamy przed Tobą, dobry Jezu, żeś przez Krew i Mękę Swoją świat odkupić raczył — słyszysz głos starego Ruban, który zanim wyjdzie, zapala koło chrzcielnicy fajkę, bojąc się by mu na wietrze nie zgasła.

Ojciec Jan czuwał w konfesjonale. Kudłate lby oparte o kratę, piękne w swym bezwstydzie głowy, których kształt ludzki zaledwie zakrywa profile drapieżnych zwierząt i ptactwa. Ludzie okrutni w swej prostocie, nieskażeni miłosierdziem, a jakże bliscy zbawienia.

Wykręca teraz ścierkę, ręce ma w zmierzchu prawie czarne z zimna.

Klekokząc sandałami, schodzi z chóru brat Damian, kościelny. Gdy kłeka obok, klucze na długim rzemieniu uderzając o posadzkę brzęczą.

— Ojcze, to nie dla was robota, mówi, wydzierając mu szmatę.

Potem pochyla się pokornie, całując go w zsiniałą rękę. Ściera dalej sam, prawie wodząc czarną brodą po wilgotnych kamieniach. Jest dwa razy starszy od Jana. Brał udział jeszcze w tamtej wojnie. Ale zamiast przewijać bandażę i trzymać miskę, wolał ciskać granatami w znienawidzonych boszów, nieraz zapomniawszy o rannych chwytając za bagnety i szedł do kontraktaku. Na tę wojnę, nie mogąc się doczekać wezwania, też chciał uciekać. Front zbliżał się z zastraszającą szybkością, Niemcy przekroczyli Loarę. Właściwie, mówi z pogardą, nie było już dla kogo Francji bronić...

Ojciec Jan podchodzi do drzwi. Noc jest ciepła i ciemniejsza niż noce zimowe. — Wiatr wydyma mu rękawy, suszy ręce, ale nie ziębi. Chmury suną nisko. Za nim, nad wieżami klasztoru, teraz niewidoczne, wiszą kamienną barykadą Pireneje. Daleko przed nim mrugają światła wiosek, to tak, jakby odwrócone, wątle niebo u stóp.

— Wiem co uczyniłem, ale tylko Ty możesz okazać mi łaskę, przyjmując moją ofiarę, mówi we wzburzone niebo. Kiedyż dasz zbawienie moim jałowym czynom? Jakże mogę poznać czym drzewo dobre, skoro nie znam owocu mego? Boże, Boże, któryś pochłoniął miłość moją, wydaj mi ją, wydaj wieczności...

Wiatr objiła się o kolana, wciska w habit jak natrętny pies. Z za muru słyszy urywany klekot kołatki. Pora wieczery.

Brat Damian, nim zamknie drzwi, kładzie błogosławiącym gestem dłonie na wie-

trze, suszącym drogi, budzącym senne soki — szepcze — wolność... Potem przeleknięty tym westchnieniem jak bluźnierstwem, z hukiem opuszcza zasuwę i ukutymi wrotami odgradza się od burzliwej nocy wiosennej.

Ojciec Jan przechodzi naukos podwórza, mija stajnie, otwiera drzwi kuchenne i długim korytarzem brnie do jadalni. Lektor siada na podwyższeniu. Braciszek służebny podkręca lampę, stawia mu tuż nad głową. Są już wszyscy. Było ich dwunastu, teraz jest jedynastu. Było czterech księży, od wczoraj zostało ich trzech. Twarda reguła nie ma wielu zwolenników, klasztor wymiera.

Tkwia tak chwilę ponad stołem prostym, nienakrytym, potem spada rytmiczna modlitwa. W tym łańcuchu wygolonych czaszek, podobnych do cedrowych gałek różańca, świeci szczerba. Siadają pozostawiając wolne miejsce i talerze dla zmarłego.

Lektor uderza palcem w pulpit. — Równocześnie otwierają się drzwi i dwaj bracia wnoszą wazy z dymiącą zupą.

Spokojny głos zaczyna: „Uczniowie Pana Jezusa pytali Go: „czemu nie mogliśmy wyrzucić tego ducha?“ I rzekł im: „Ten rodzaj żadnym sposobem wyjść nie może, jeno przez modlitwę i post“, (św. Marek IX. 14. 28.).

— Kimże był ów oporny duch, który opętanego czynił niemym i głuchym, ciskał nim w ogień i wodę, toczył mu pianę z ust, kazał mu bronić się przed ratunkiem i wreszcie odchodząc, porzucił go wyczerpanego na progu śmierci?

A jest to duch nieczysty.

Jest to duch, który zabiwszy w nas miłość prawdziwą, podszywa się pod nią, rządząc zmysłami naszymi — wcielenie potęgi tyrańskiej. Oto grzech który nas trzyma w niewoli i do ziemi przygina. Opętany, nazewnątrż ruchliwy jak płomień, zamyka się i krzepnie w egoizmie i obojętności. Na bliźnich patrzy poządlwie, szukając w nich zaspokojenia swej namiętności. Ciało płonie, a dusza zamiera.“

Ojciec Jan słucha z pochyloną głową. Głos dudni o sklepienie, nawraca, osaczając go. Przed chwilą rzucił pytania Bogu, czyż odpowiedzią będzie to oskarżenie? Lektor skanduje: „A duch uczyni go niemym, bo w grzechu tam niema nic co mogłoby się ukazać w świetle, oto grzech sekretny, skryty, który zamyka mu usta do wyznań.

A duch czyni go głuchym — na głos łaski, na wołanie pełne miłosierdzia.

A duch ciska go w odmęt żądz, pali płomieniem zmysłowym. Odmową doprowadza do rozpacz, to przyzwoleniem zamienia ciało w popiół.

On włada nieszczęsnym odwołując się do miłości jego. On panuje nad nim, a wielbi go krew, ciało i wola pokonanego. Któż da oswobodzenie? Któż go uzdrowi?“

Zapada męcząca cisza, słychać tylko szuranie wichury po dachu.

„Czyż wystarczy zarozumiałemu własna siła? Czemuż z dumą odrzuca pomoc Mistrza, czemu nie modli się, nie korzysta z oręża sakramentów?“

Teraz Jan musi napełnić talerz. Ta prosta czynność niesie odprężenie. Patrzą serdecznie na tych brodatych mnichów w kłębach złotawego oparu, na te twarze od ascezy obrzękłe, niezdrowo nalane, jakby wyniesione wiosenną powodzią zwłoki topielców. Inne przez to samo zniszczone, przetarte, jakby wewnętrzna twarda podbudowa nagiej czaszki próbowała się przebić przez zanikające ciało. Tylko włosy zachowują swą bujność, niepokojącą żywotność, która trwa i po zgonie.

Obok jest miejsce puste. Jeszcze wczoraj rano siedział tu ojciec Hieronim. I oto już go niema. Ale przesuwana waza, zatrzymuje się przed nim jakby nabierał.

Śmierć dosięga go w jednej z tych ożywczych drzemek, w których organizm gromadzi resztki zapasów na chwilę krótką gorączkowej działalności. Zasnął i już nie przebudził się. Zasnął i zapomniał powrócić.

Śmierć... Ojciec Jan wita ją teraz przyjaźnie, ale gdy miał siedem lat... Pamięta ten wstrząs, kiedy uświadomił sobie, że on, to jest — on, jedyny, niepowtarzalny w całym świecie. Kiedy zrozumiał, że śmierć i wyrok wiszą nad nim. O te przerażające szczere spowiedzi, kiedy odchodził od konfesjonau pobladły i osłabiony jak po torsjach. Oh, te tortury skrpułów, wieczna niepewność, że nie jest godny przyjąć Jezusa. Powiamywane palce gorące i wilgotne. Wieczory, kiedy patrzył w niebo jak na olbrzymią dekorację, przed którą się odgrywa próżny trud jego walki. Przecież z góry był skazany, znał swą bezsilność... Nie śmierci bał się, ale życia, wiecznego życia, które tkwiło za nią. Jakim wstrząsem była mu wiadomość o samobójstwie kolegi. — Nieszczęsny, myślał, gdybyś wiedział co ja wiem... Przecież uciekając stąd, sam się wydałeś prawcom. Jeżeli tu jest męka i trwoga, cóż dopiero tam gdzie niema nadziei i kresu...

Jakże podziwiał kolegów, jakże im zazdrościł. Żyli tak wesoło, kopali piłkę, grali w tenis, później całowali się z dziewczętami. Jeżeli któremuś zwierzył się ze swego lęku, przytakiwali mu, marszcząc czoła w udany skupieniu, ale zaraz pochłaniały ich zabawy, tak jakby miały trwać wiecznie. Chwilami wątpił, czy oni mają dusze, bo swoją czuł zbyt wyraźnie, bolała pod dotknięciem. Oczywiście było to nerwowe i związane z okresem dojrzewania, ale to zamało by wytłumaczyć piekło w którym żył przez kilka lat. Nieraz w twarzach mijanych ludzi, dostrzegał już wezwanie, płamy wątrobiane, podpuchnięte oczy, skleroza czy rak — a oni niedbali, ślepi biegli ku jednolniewej radości, witając ostrzeżenia i kataklizm corocznej jesieni — jak coś zwykłego.

Powoli ta przeraźliwa ostrość widzenia zacierała się. Świat go pozyskiwał dla siebie. Jeszcze raz mając lat osiemnaście, przeżył ten lęk przy czytaniu Poego. Drżał przechodząc obok cmentarzy, gdzie zgadywał groby pełne własnego życia i niepokoju. Wszystkie dni wtedy, wydawały mu się opadaniem w otchłań, pełną niewidzialnego ognia. Ale trwało to krótko. Potem nawet chciał to uczucie wzbudzić w sobie, już nie powracało.

Był nawet czas, kiedy ten okres nawiedzenia, kładł obok wyobrażeń dziecińczych, naprzykład wierzył, pamięta to, może we śnie, może na jawie, że gdy poruszał gwałtownie rękami, mógł podfruwać, lekko unosił się na szafę, albo krążył w oczach zdumionych rodziców trac ubieloną głową i karkiem o sufit.

Patrzą chwilę tępo na śmieszne cienie błądzące po ścianach. Nagle głos cichnie. Lektor wskazuje miejsce palcem i schodzi jeść. Drugi, ocierając jeszcze wierzchem dioni usta, zaczyna czytać dalej.

„— Biada temu kto zabija miłość, kto pogrąża ją w cielesnym nasyceniu, otwierając furtę złemu duchowi.

Biada temu, kto wydaje miłość w niewolę.

CLAUDE MCKAY

Śpiew religijny murzynów

Wyrwali cię z środowisk twoich macierzystych,
w których żar słońca tonom twym nadawał słodycz
i akcent skargi pieniom o pracy bez końca
a muzyce rozlewność, uczucie i brzmienie.

Wyrwali cię z twych lasów pełnych zadum,
gdzie psy myśliwskie ton twój w lot chwytaly uchem,
gdzie tylko ptaki wraz z kwiatami treść twą znały,
czar rozumiejąc szlochań, co w twej krtani drgały.

I ponieśli cię w salę, gdzie błyszcza marmury
ludzi ponurych, twardych, dumnych, bez sumienia,
podobnych do złoczyńców, co święcą karnawał.

Dla nich dłoń obca i niszcząca wszystko, rzuca
cię w kształty obce tobie, a gra wirtuozów
topi twą piękność w hucznym instrumentów wrzasku.

Z angielskiego spolszczył Stanisław Helsztyński.

Jeżeli na nas ciąży ta wina, szukajmy wyzwolenia w Panu. Jeżeli dotąd opierałimy się wrogowi, czuwajmy, podwójnym straże. Bo im twierdza bardziej obronna, tym doskonalsze wojsko ją oblega.

Dla nas niema drogi pośredniej.

Miłość lub niewola.

Tyrania złego ducha, lub poddanie się Chrystusowi."

Jan opuszcza nagle łyżkę. Podnosi oczy jak osaczoney, — o nadzieję ratunku, jak-żeś daleko.

I ojca Hieronima już niema. Może przed-łoży tam, wyliczając się z dokonanych spraw i jego trwogę. Może wyjedna rozstrzygnięcie.

Nie były to spowiedzi, te długie rozmowy, w których ojciec Jan szukał usprawiedliwienia. Przecież to heroiczna de-czyzja nawał w oczach najbliższych była tylko obłąkanym kaprysem.

I on przecież był normalnym, jeżeli taki człowiek istnieje. I on nauczył się kopać piłkę i drwić z dziewcząt. Pamięta z jaką radością gnał rzycać ulicami. Z bandą hulajów stali tupiąc niecierpliwie pod drzwiami klasy. Nie wpuszczano ich wcze-śniej, bo to stado młodych zwierzaków deptało po ławkach, biło się kałamarzami i śmierzdzało tego.

Ulubiona ich zabawa, w tej szkole ludo-wej — mieszkali wtedy na przedmieściach Paryża, bo matka mężczyźni hałasy rozpoła-nych ulic różniednia — było płuc prosto w pyski rozwścieczonym psom, miotają-cym się za kratami luksusowych will. Al-bo z małąpą złośliwością oddawali mocz w butelki, na które nakładali czeppek że staniolu i owinięte w bibułek zapominali w autobusach.

Jeżeli to mają być dowody normalności — to z całą pewnością był normalny.

Potem gimnazjum. Rósł w nim rozsa-dek, spojrzenie stygło, już był bliski pogo-dzenia się ze światem. A jednak zachował wrażliwość na krzywdę społeczną, rozu-miał niesprawiedliwość podziału. Dla bie-dnych miał zawsze dłoń otwartą. Ale przecież nie o to chodzi, cóż daje łatwość z jaką sięgał do kieszni po kilka sous, jeśli braknie miłości. Jan dopiero teraz rozumie.

— Miłość, mówił ojciec Hieronim, jest źródłem życia, bez niej nawet wszystkie dobre uczynki to plewy. Dziś nie mając czasu powierzamy ją organizacjom. Sw. Wincenty á Paulo, to tylko akuszerzy, któ-rzy próbują wydobyc ją z serc zasłonię-tych portfelem. W miłości nie można urzę-dować... Kto daje srebro, a skąpi ser-ca, nie czyni zadość jej nakazom, ale im bliżni.

Miłość kobiety to tylko szczególny wy-padek miłości bliźniego. Małżeństwo jest świętą szkołą miłości społecznej, bo ileż ustępstw wymaga sztuka trwałego pozicia z jedną istotą, mówił, uśmiechając się la-godnie i trochę drwiąco.

Jan pamięta, jak świat przeobraził się, gdy poznał Teresę. Przecież kocha ją do-tąd, ale inaczej, całkiem inaczej...

Wstają. Modlitwa dziękczynna. Zakon-nicy wychodzą ukończyć prace przed no-cą. Ojcowie eremici suną do swych samo-tni. Chłodny oddech wpada do sali, unie-siona lampa kopci. Jan idzie pod wiatr. Podmuch zrywa mu kaptur, targa nim na karku. Nad nim niska noc.

Staje oparty o mur, zagradzający stro-my spadek w dół, gdzie bełkoce strumyki. Gałęzie wspinają się po murze. Zdaleka jak pomruk burzy obsuwa się nawis śnie-żny, przeżarty, porowaty i podmyty kra-jami przez ciepłą wichurę.

— Miłość, miłość... szepce, potem wsu-wa palce w rękawy i pochyłony jak pod brzemieniem idzie do swojej celi.

Chłodno tu, pachnie bliskim kunikiem, zmierzwioną słoną i wapnem. Jan klęka. Słyszysz tętent wichury przebiegającej nad dachem. Skrzypią krokwie. Nie zapala świateł.

Z warzą ukrytą w dioniach myśli — cóż ty robisz w taką noc? I nagle zaczyna się za nią gorąco modlić. Akty strzeliste przeszywają noc jak płonące strzały.

* * *

Teresa wraca do domu. Niema jeszcze dziewiętej. Jest to chwila, w której wszystko zatracą swój sens. — Dlaczego przyszedł właśnie tu, a nie do mieszkania obok, myśli pocierając czoło. Pokój koł ją swoją martwością. Myśli o herbacie, wią-żenie grzejki, szum wody w kranie, kła-panie pokrywy — tyle ruchu, rażącej ży-wotności, dla mizernego rezultatu szklan-ki gorącego płynu. Nie warto. Siada na fo-telu. Opiera głowę o dionie. Staje nagle

w obliczu żalosego bilansu. Ma lat dwa-dzieścia osiem, przeżyła połowę życia, cze-góż dokonała, co osiągnęła? Czyż ten wła-sny ką — tapczan, dywanik, pończochy, mały pożreć żywego człowieka? POCO ży-je? Poto by się tymi gratami obwarować, uwiezić, dać im się tyranizować?

Nagle czuje taki głód miłości, że jest gotowa upokorzyć się, byleby tylko wró-cił. Ale jest już za późno. Klęcząc otwierając szufladę, wydobywa listy, fotografie, za-łosne pamiątki. Próbuje uwierzyć że jed-nak to co pozostało, powinno ją zadowolić, tak jak dziecko cieszą kamyki i muszle, a przeraża żywioł spływają-ego morza.

Listów jest dużo, czterdzieści, może wię-cej. Prawnie wszystkie z wojska. Afry-kańskie znaczki z jaguarem, palmą i mu-rzynami. Z pierwszego najszcześliwszego okresu listów nie ma. Był tak krótko ra-zem zaledwie nie cały rok. Ale szczęście jest egoistyczne. Dopiero oddała, tęskno-ta i smutek, otwierając nam usta do zwie-rzeń, pozwalając nam ocenić przeżyte już szczęście, któreśmy uważali za oczywiste i niewzruszalne.

Wyciąga z paczki jeden arkusz. W tej chwili światło gaśnie. Na ulicy też ciem-no, tylko daleko kołyszą się światła jak łańcuchy spadające w wodę. Krótkie spie-cie. Sasiadka człapie pantoflami.

— Czy u pani też zgasło, woła przez drzwi.

Teresa milczy. Tak jest lepiej. Ścisną-jąc w rękę ten ziarnisty papier, który mówi o miłości, wybiera sobie, że nad-szedł dziś, w czasie gdy opuściła dom.

— Laurent, szepce, tak cię kocham...

Za oknem kropie zielonych iskier ście-kają z drutów.

Jakby wywołał zaklęciem ukazuje jej się brunatny, z cerą południową, czar-nyimi włosami, które są twarde i proste. Jest dobrym sportowcem. Nad nimi lato miejskie. Domy dyszą, a nad dachami wi-si niebo przysłonięte tęcząwą mgiełką roz-cieczonych dymów i pary. Słaby turkot dzwonka, zatraskują się drzwi pneuma-tyczne. Kolejka rusza. Wyjeżdżając z dusz-nego półmroku między ogródę, gdzie cie-pły kurz przygasił zieleń drzew owoc-o-wych. Wagon zaczyna miękko kołysać, a dion wystawiona przez okno napotyka opór.

Czyż może być coś radośniejszego, niż to dziecinne jeszcze porozumienie jakie między nimi zapada. Oto odkrywają w so-bie te wyjątkowości, żywiołową świeżość uczucia, które ich ożywia. Odnajdują że zdolnością właściwą tylko zakochanym sa-motność w pełnym wagonie, spojrzeniami i przypadkowymi dotknięciami, wyrażają sobie nieustanny zachwyt. Nie wiedzą, że każdy gest powitalny, jest zapowiedzią rozstania, nie wiedzą, że wargi, które te-raz nakrywają się tak szczerze, właśnie dzięki tej chwili czystego pocałunku, od-naidają gorzcy osamotnienia.

Zyskują sobie sympatię całego przedzia-łu. Emerytowany pułkownik, uśmiecha się

z aprobatą, a gdy wysiadają, przygląda-jąc srebrnawy wasik, podaje jej różowy goździk wyjęty z kłapy. Każdy chciałby mieć udział w ich szczęściu, w chwili nie-powtarzalnej z której nie zdają sobie te-raz sprawy.

I cóż zostaje z tych dni? Powraca do do-mu szczęśliwa, na krótką noc, która wzma-ga tylko radość codziennego odzyskiwa-nia. Matka, która nie mieszka z ojcem, tylko sama, — poznaje z lekkością jej stąp-nie i świetlistych oczu — miłość.

— Nie nadzwyczajnego ten twój chło-piec, mówi, czarny drobny... Ale nie przy-zna się, że na to spotkanie na tarasie ka-wiarni, ubierała się ze specjalną staran-nością i jest zadowolona z wrażenia jakie na nim zrobiła.

— Chciałbym, żebyś była taka ładna jak twoja matka, mówi Laurent, odprowadza-jąc ją do bariery, zagradzającej odcchiał Metra. Myśli skrycie — zawsze po mat-kach możemy poznać co zostanie z córek, gdy będą w ich wieku.

Za parę miesięcy będzie mówił inaczej. Pamięta twarz Laurent, gdy czekał na nią w dusznym Jardin de Plantes, czekał na umówionym miejscu, mimo, że spadała nagle ulewa. Grube kulki okryte błoną kurzu skakały jak żywe srebro po rozpa-lonych ścieżkach. Nagle drzewo, które by-ło dotąd wystarczająco osłona, zaczęło przeciekać. Mimo słońca lało rzęsiście. Sta-da gołębi nie przerywały lotu.

Gdy ustalo biegła go szukać. Wyszedił na przeciw niej przemoczony, szczęśliwy i ufający.

— Dlaczegoż się nie schowałeś, głupta-sie?

Deszcz mi dowiódł, że kocham! Czy myślisz, że dla kogo innego tkwilibym tu-taj? Nigdy nie byłem taki szczęśliwy jak w tym z nagłą opustoszałym parku...

Pamięta jego uśmiech. Pamięta cykla-meny na przeźroczystym kapeluszu matki, pamięta duszny zapach miejskiego siana w miniaturowych kopkach, w których ry-ły psy kurząc na pokoszonych trawni-kach.

Ale z tych spotkań, gestów, uśmiechów, ptasiej poufałości stwarza się kraina do której będą jak wygnani tęsknić. Gdyż to co zamkną w dioniach, kształt mart-wiejący już, którego rysy dostrzegają w milczeniu — nie jest obliczem miłości, chłód tych warg daleki od uśmiechu, któ-ry ich wabi w te rozświeconione dni miej-skiego lata.

Teresa przesuwa palcem po plecionej fotela, to jakby szorstkość traw. Pojedyn-cze sosny, niskie szeroko rozrośle. Dosyć spaceru. Ma bose nogi-i piasek w sanda-lach. Przed nimi las, skonfiskowane do-bra biskupie. Opiera nogę na pniu, nie ma nic ze zmysłowego wyrachowania w obna-żonym wysoko kolanie. Nie ona, to Lau-rent zdejmując sandał, wytrzepuje kamyki.

Potem przyklekając przylatwa wargi do skóry zakurzonej na kolor złotawy, tyle właśnie, by zatracić chłód posągu, stać się

bliską, jedyną, małą nóżką, którą można tylko całować. Ono wplata mu dionie we włosy. Oto po raz pierwszy, chyli się w holdzie do jej stóp głowa mężczyzny.

— Laurent, czyżbym ci nie dosyć ko-chała?

Przypluwa na nią wielkie wzruszenie i gdy podnosi dion do oczu, światło zapala się nagle jak uderzenie pięści. Wzdryga się przywrócona rzeczywistości. Gnęcie list, zatraskuje szufladę.

Staje przy oknie twarzą, prawie wyzy-wającą. Wiatr nie ustał, gałęzie wycią-gają się, chwieją, jakby próbowały dosię-gnąć, pochwycić coś co ulatuje z tą nocą.

— Naprawdę szukam w sobie winy, tak musiało być, mruczy. Potem powoli za-cyna wyjmować szpilki z włosów przed lustrem, przeginając w tył głowę, patrzy zagardliwie we własne zwłgotniałe oczy.

Okrywały ich ciepłe zmierzchy. Ciała drzą przytulone do siebie, jak zwierzęta ogarnięte lekkiem przed nadchodzącą no-cą. Dionie igrają jak spoufalone piesiki, splatają się, gładzą, obiegają, wreszcie ją ciągną się wzdłuż pleców, przylegają szczerle. Ono widzi jego twarz stężłą w maskę antycypną. Otwarte nieruchome oczy patrzą w niebo bez gwiazd. Tyle razy czu-ła na sobie ciężar jego ciała, a jednak są w tej chwili tak dalecy sobie i obcy.

W niezliczonych domach, w kamiennych klatkach miasta, powoli stygnące — ciasno splatają się ramiona, mężczyźni wstępują w kobiety, próbują w chwili ja-łowej rozkoszy — zapomnieć o grozie nad-chodzącej nocy, o zalewie materialnej ciemności. Serca biją niepokojnie. Trzy-mają się palcami kurczowo, zanim sen nie rozluźni ich mięśni, zanim nie utoną we wzburzonej pościeli. Jutro dzień niezna-jomy, ranek przeszyty gwiazdami fabryk obnaży całą ich nędzę. Oto dzwonki, klak-sony, syreny — bicze pędzące stada nie-wolników. Pięściami przecierającą oczy, su-che, spalone, bez ież. Oto nowy dzień cz-ka jak natarczywe pytanie — in hac la-crimarum valle.

— Kochał mnie tak bardzo, aż odemnie uciekł.

— Kochał mnie tak bardzo, że skrył się za murami klasztoru. Teraz wolalaby go widzieć umarłym. A przecież żyje i to nie daje jej spokoju. Przypomina sobie ostat-nie rozmowę. Dlaczego mu nie uwierzyła? Duma nie pozwoliła jej się ugiąć, popro-sić o czas próby. Gdyby nie Ewa, która stała za nią jak czarny anioł, szepcąc, — Tereso, przecie ty nim kierujesz, żadna decyzja bez twojej zgody zapasć nie może.

Laurent, jej Laurent i pogrzebany żyw-cem w klasztoru baskijskim ojciec Jan... Cóż za klęska...

I byłoby tak długo trwało, gdyby nie służba wojskowa i porzedzająca ojazd rozmowa z Ewą. Przysiadł otrzymał wbrew skrytym pragnieniom, że zostanie w garnizonie paryskim, do Marokka.

— Dziś jest dzień kolonialny, mówił sto-jący za nim piegowaty robotnik, wszyst-

kich tam wysyłają. Ale nie martwcie się kolego, to od nas tylko zależy, byśmy tam stworzyli sobie Paryż. Przecież wino i dziewczęta są tam tanże...

Czekają go osiemnaście miesięcy w El Baruch, w pulku pustynnym, u mehary-stów.

— Ciekawym jak sobie dasz radę z Te-resą?

— Jakto, przecież jest moją narzecz-o-ną?

No to co z tego, kiedy jest niewie-rzącą. To będzie zawsze między wami, a gdybyście mieli dzieci...

— Ależ Ewo, ona mnie kocha...

— Ale nie kocha Boga, powiedziała drwiąco. Myślisz, że ją nągniesz do prak-tyk katolickich?

Wtedy nie rozumiał jeszcze błędów swe-go postępowania. Zmarszczył czoło.

— Myślisz, że tak, powiedział twardo, a potem w poczuciu winy, szepnął, — będę ją prosił o to...

Wystarczyło Ewie powtórzyć te rozmo-wy, by Teresa oparla mu się i odrzuciła wszelką próbę pojednania.

— Albo kochasz mnie taką jaką jestem — niewierzącą i grzeszną, śmiała się, albo nie zawracajmy sobie głowy miłością... Ty zawsze lepiej wiesz, co powiem za lat dzie-sięć, martwisz się jak będziemy wychowy-wać dzieci... Jeszcze nam to nie grozi... Byłoby lepiej,gdybyś tak całą tę swą sub-telność skierował na chwilę najbliższą.

Teresa teraz żałuje, że nie miała z nim dziecka, to jedno mogło go zatrzymać od tej strasznej decyzji.

* * *

Ojciec Jan słyszy ziarna piasku ćwier-kające na szybach. Czuje ciepły oddech wichury.

— Wołta w prawo, woła kapitan. Palmy sterczą nastrozone jak kartonowa deko-racja, na tle czerwieni. Konie tonąc po pę-ciny w piasku ujeżdżalni, odwracają nie-spokojnie głowy od przeszkoż. Rudawy kurz wzbija się spod kopyt.

— Podprowadzać powoli... Nie wypu-szczaj zawsześnię, krzyczy nagle, galop, uciwuj galop!

Laurent ścisła udami boki klaczy. Klu-suje. Siodło skrzypi. Czyż jest coś piek-niejszego od tego porywającego biegu? Grają trzewila. Jeszcze jedno uderzenie ko-pyt i chwila lotu, skok w dogasające słoń-ce. Koń rzuca łbem, parska, lekkim klu-sem dołącza do grupy.

Teraz spada ciemność, nagła, bez ostrze-żeń. Ledwo widać nadplywające sylwetki jeźdźców w mroku, która dymi z wydm. Słychać chrapanie i tupot koni, stuknięcie kopyt o barierę i trzask przewracanej chyrdy. Zwolnione ruchy, okrzyki, które gubią się we fioletowej mgłę, świat, wi-dziany ślepnącymi oczami.

— Skróćcie wodzę. Pilnuj bo wyłamie! Słychać stękanie konia idącego na prze-szkodę, trwając rytm galopu. Potem chwila ciszy, tylko skrzypi deptany piasek. Kie-rując się raczej słuchem jeźdźcy wyko-nują manewr. Laurent czuje zdrowy za-

sumienie a nawet przyrodę całą — wtedy dopiero wie wszechświat dokładnie, że przez to wszystko nie otwiera ludziom dwóch dróg rozwoju, lecz że przez to wszystko szkuje się święto, święto roz-pasania ludzkiej brutalności i głupoty, po-wierdzonych przez bogów. Przynać, że jest to polityka małostkowa. Ale dwaj naczelnicy państwowi mogą sobie między sobą rzec: taką zwykle jest polityka losu.

HEKTOR: Zaś Troja i Grecja mają być dzisiaj tymi, które los wybrał? Czujesz się u nas, jakbyś stał na wrogiej ziemi...

ODYSEUSZ: Nie biją się nieprzyjaciela, z natury obcy i wstrętni sobie nawzajem, ale tacy, których los wychował i przygo-tował do równej wojny: rywale.

HEKTOR: I my jesteśmy gotowi do greckiej wojny, sądzisz?

ODYSEUSZ: Tak i to w nieprawdopo-dobnych rozmiarach. Tak jak przyroda ubraja owady, między którymi przewi-duje się walkę, w słabości i broni sobie odpowiadające, tak i my, dalecy i niezna-ny sobie wzajemnie, podnosimy się na płaszczyznę naszej wojny. Bronie nasze i nasze przyzwyczajenia odpowiadają so-bie jak zębate koka.

HEKTOR: A inni Grecy, czy oni myślą tak samo jak ty?

ODYSEUSZ: To co oni myślą też nie jest zbyt uspokajające. Oni myślą o bo-gactwie Troi, Złoto waszych świątyn i złoto waszego zboża na przedgórzach po-

pach końskiego potu i nagrzanych rze-mieni. Rozjeżdżają się i zbierają w jeden szereg, gdy gwiazdy wilgotne, świetliste zawisają tuż nad skórzanymi liśmi palm.

— Dziekuje panom! Słyszysz trzask spi-czuty. Już nadbiegają strzelcy odbierając im konie. Laurent klepie Dorę po karku, czuje nerwową, ruchliwą skórę. Klacz od-wraca głowę, szczypie go za burnus mię-kimi wargami. Laurent wodzi po nich dion-kami, znajomy kapryśny pysk, brodawki z kępkami miękiej sierści i ten grymas za-wiedzionej piękności, który czyni ją po-dobną do angielskiej gwienantki.

Daleko lunaryjnym światłem mżą roz-palone domy osady. Słychać stamtąd zmy-słone klepanie bębna.

— Idziesz Laurent?

— Nie, zostaję.

— Zamiast pisać listy do tej lilijki, po-szedłbyś z nami. No, nie namawiam cię do zdrady, ale warto, żebyś się z którąś przespał, choć tylko poto, żebyś w wpra-wy nie wyszedł...

— Jazda, na co czekanie, wołał ktoś nie-cierpliwie.

— Hallo Laurent, krzyczą jeszcze z da-leka, a zmów za nas pociorek!

Laurent siedzi przy otwartym oknie. Kolega Saint Sabie gra sentymentalne Le-tre de Manon, tony skrzypiec wiszą dłu-go w ciemności jak smugi łagodnych dy-mów. Pierwszy chłodny powiew przewra-ca kartki.

— Gardzę nimi, a w czymże jestem od nich lepszy, Tereso teraz wiem ile ci je-stem winien...

Potem chodzi długo. Na dole stukają sandały straży. Krótkie chrapliwe okrzy-ki. Zmiana warty. To już północ.

* * *

A jednak pytał ją nieraz. — Niedziela dziś, byłaś na Mszy?

— Nie, pocio?

— Przecież jesteś katoliczką.

— Eeee, machała ręką lekceważąco, to nie ważne...

Był czas, kiedy mu ten stan dogadzał. Wiedziała, że postępuje źle, ale przychyłał się do jej zdania — przecież to takie na-turalne skoro się kochamy. Czasami się buntował. — Nie będziemy tego więcej robić, brońmy naszej miłości Tereniu! Ale ona uśmiechała się tylko. Wiedziała, że wystarczy objaś go, przylulił, by znouw wszystko było tak jak dawniej.

Któregoś dnia po spowiedzi i Komunii, chciał przyprowadzić ją za rękę do Zba-wiciela i modlić się: To jest moja narze-czona, oddajemy Tobie miłość naszą. Oczywiście ją, by stała się jedną z Twoją Bo-ską miłością... Ale Teresa nie chciała wca-le wejść do kościoła.

Laurent pamięta teraz wszystkie szcze-góły, jak opilkł za magnesem, zbiegając się te drobne na pozór starcia. Ogarnia go zwątpienie. To zazdrosna Ewa posiała w nim niepokój. A może był to głos ostrze-żenia?

Cóż ja potrafię, myśli. Modlitwa. Dobry przykład. Przecież tyle razy ją zgorszył

swoją bezbronnością. Mówił — nie, nie, i sam ją obejmował. Miało to dla niej na-wet urok, wydierała go Bogu. Wiedziała, że cierpi. Wtedy była pewna, że jest jej i tylko jej. Ręka sięgająca do kontaktu gasiła niewidzialny blask laski. — Bo wy, katolicy, mówili pogardliwie, w tym „wy“ — zaznaczając swoją obcość...

Na parę dni przed wyjazdem, gdy wraca-ła z wycieczki do Chateau de Vincennes, przechodząc koło kościoła św. Genowefy zobaczyli otwarte drzwi, oświetlone otła-rze i garść wiernych klęczących w ado-racji. Weszli. — Może, pomyślał, patrząc na robotników, oficera i dzieci, to ta gro-mada sprawiedliwych, która wstrzymuje karzącą piśnię Boga, nad grzesznym Pa-ryżem. Ale czy ich błagania wystarczą?

— Tereniu, mówił, czułaś to ogromne wzruszenie, jakie dawa bliskość Boga.

— Mój drogi, odpowiadała oschle, je-żeli ci wiara jest potrzebna, to wierz, tyl-ko proszę cię mnie nie zmuszać. Ty jesteś naturą organicznie religijną, a ja znam setki ludzi, którym wystarcza własna mo-ralność, nie trzeba ich straszyć piekłem, aby żyli uczciwie. Katolikiem być najwy-godniej, wypowiedział się i znouw grzechy nabierają dla niego świeżego smaku. Ty wierzysz w ten oplatek w pozłacanej bla-sze...

— Przecież i tyś klęczała.

— Klęczałam, żeby ci nie sprawić przy-krości.

Nie wiedziała, że teraz dotknęła go naj-bolesniejszej. Kiedy o tym pomyśli zdaje mu się, że to on jest wszystkiemu winien, że to on ją najbardziej zraza.

— Katolicy, są największymi wrogami kościoła, tak mówił zmarły ojciec Hiero-nim, kto słyszy, to co głosz a widzi jak żyją, temu może się zdawać, że nawet mę-ki Chrystusa jest za mało by obudzić czło-wieka.

Coraz bardziej rośnie w nim poczucie winy. Przecież mają miłość — dar nie-zwykły.

Gdy przyjeżdża na urlop zastaje Teresę w żałobie. Zmarł jej ojciec. Jest mu teraz jeszcze droższą. Jak każdy mężczyzna, pró buje obowiązkiem opieki ulegalizować swoją zaborczość. A jednak czują w so-bie odmianę — kiedy pada pytanie pod-szyte obrażającą podejrziwością — dla-czego oddałaś mi się tak łatwo?

— Przecież kochałam cię, odpowiada zdumiona.

— Tak, prawda, kochałaś, to wszystko usprawiedliwia, pochyla głowę.

— Ty już nie jesteś moim chłopcem, odwraca się Teresa, jesteś taki twardy.

Powraca do pulku jeszcze bardziej obar-czony poczuciem winy.

W nocie bekszyżycowej wyjeżdża na pa-trol. Wielbłądy stapają kołyszając się ryt-micznie, razi go brak dzwonków, tego wi-brującego srebrnego tonu, który tak da-leko niesie się w pustyni. Gdy zapadają między wydymami, garść żaru tli się, leżą, czuwając obok przeżuwiających zwierząt. Nad nimi ogrom gwieździstego nieba, prze-

sypują się fale piaszczyste, wzburzone i zastygłe morze umarłych. W takie noce czuje nad sobą nacylonego Boga.

Trochę dalej słychać nieustanny ruch, drapią niezliczone pazurki, coś przebiega i krąży. Piasek śpiewa. Tu, w środku krę-gu spoczywających ludzi i zwierząt, w bła sku tego co jest zaledwie cieniem ognia, Laurent modli się. Czuje spadające ziarn-ka piasku, jak pył wystygłych gwiazd. — Rankiem budzi się nawpół zaspany, pia-sek długimi językami podmywa ciało, o-piera się na piersiach, jak zmora dlawi oddech przeczcuciem śmierci.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że miłość nasza jest inna, pisze, mocna i prosta.

— Nie! Nie, jest taka sama jak wszyst-kich, odpisuje z uporem Teresa, choć wie-że tak nie jest. Czego mnie męczysz, cze-go ode mnie jeszcze chcesz?

— Chcę twojej duszy...

— Piszesz jakbyś był demonem, prze-cież masz mnie całą.

Ale tak nie jest.

Posiadanie. To wieczne niezaspokojone pragnienie całkowitego pogrążenia się w sobie, stałego stowarzyszenia ciał i dusz. Jeżeli życie nasze tu jest tylko epizodem w dążeniu do Boga, jeżeli po zgonie cze-ka nas życie wieczne, bezmiar lat, czyż mógł się wahać.

Jakże pragnął mieć ją na zawsze, pogrą-żyć miłość kobiety w miłości Boga, jak rzeka, która rzuca swe wody w otchłań błękitu. Jakaż radość rozpoznać świetlaną twarz ukochanej, witać ją po tamtej stro-nie. O życie triumfującej miłości! Przecież codziennie mówimy „wierzę w ciał zmartwywstanie i w żywot wieczny“.

Jeżeli ja jestem przyczyną jej upadku, muszę użebrzać u Boga łaskę podźwignię-cia nas.

Któż miał ją nauczyć innego spojrzenia, jeżeli on świadomy swego celu postepo-wał najgorzej. Pomimo całej niewiary i uporu, wydawała mu się piękną i cenną jak nigdy. Zdobyl ją dla siebie, teraz po-winien ją zdobyć dla Boga.

Kto miał jej o Nim mówić? O Nim wy-pędzonym z domów burżuazji, wygnanym z urzędów i szkół, zbędnym starym rek-wizycie? Może matka, miłująca tylko o so-bie z twarzą ptasia, nieskazoną żadną my-ślą ani troską? Ojciec uwikłany w pracę związkową w syndykacie, gdzie — greve i action directe, powtarzano do obiedu, gdzie walczono tak gorliwie z Bogiem, że nie starczyło już sił do obrony Francji przed najęźdźcą.

Ogarnia go przerażenie. Więc mnie ja powierzył Bóg, mnie wybrał i jakże Go zawiodłem. Cóż

ga przełożysz ponad mnie, ale pamiętaj, że i ja mam swoje zasady.

— Jakież ja byłem głupi, szeptał.

— Może dlatego byliśmy tak szczęśliwi. Dostę namęczyłam się przez ten rok. Muszę zacząć być egoistką, oni są najbardziej szczęśliwi. Popatrz, moja matka...

— Złamała życie twego ojca, opuściła go.

— Ah ojciec, to był człowiek dobry, tylko słaby i lubił wino. Może matka nie walczyła o niego, ale ona go nie kochała, czy możesz ją o to oskarżać? Ja nie mogę dla mitu przyszłego życia marnować tego.

— Tereso, jeżeli mnie nie zrozumiesz, to...

— Grozisz mi?

— Nie, błagam.

Wtedy Teresa uważała całą tę rozmowę za chwilowy kaprys, nie przypuszczała, że jest gotów na to szaleństwo. Rzucić swoje życie i miłość na szalę miłości wiecznej? Nagle Laurent, ku oburzeniu całej rodziny wstąpił na teologię. Potraktowano to jak zdradę, a Teresę pocieszano jak osobę oszukaną i pokrzywdzoną.

Teresa nie szukała innego kochanka. Czasami zdawało jej się — byle kto, przecież to jest to samo. Chciała się zemścić. Niech widzi moją nędzę i upadek. Ale czuła, że nie na nim, tylko siebie samą by krzywdziła. Kochała tylko jego. Prymicje odprawił za nią, ofiarował ich miłość Bogu, błagając by przywrócił mu ją we wieczności.

Cztery lata samotności. Cztery lata czuwania.

Ojciec Jan klęcząc ścisnął palcami skroń. Czyżby pomylił się. Na próżno zarzucił sieci. Pośród połowu nie było duszy ukochanej.

— Panie daj znak. Panie dozwól mi znaleźć cień nadziei, że ją ocalisz od zagłady. Ja wiem, że niezbadane miłosierdzie Twoje może ją osiągnąć w chwili ostatniej. Ale nie daj jej czekać tak długo. Nie dla mnie, ale dla siebie ją ocal. Błagam o miłosierdzie dla miłości mojej.

Ziarna piasku uderzają o szyby. Pustynny deszcz śmierci i zapomnienia.

W taką noc najlepiej głowę płonącą ostudzić kapturem mnisim.

— Czyż wszystko napróżno? Post, umartwienia, modlitwy. Ona nie umie się bronić, ujmij jej cierpień i zmagañ, a daj je mnie. Jestem silny, mogę dźwigać więcej. To nie z pychy przemawiam, tylko z miłości. A czymże jest miłość moja, wobec Twojej ogarniającej świat? Jeżeli pragniesz tego, jeżeli o ten okrucieństwo jesteś zazdrosny, oddaję Ci ją, będę wyznawał Ciebie, Ciebie, choć i ją tylko w Tobie kocham.

Osuwa się, leży krzyżem. Chłód idzie od kamiennej posadzki. Ścierpłe kolana boją. Za oknem odzywa się kołatka i klekoczą sandały spieszących na modlitwę braci.

Bocznym wejściem przechodzą przez czarną, zimną pieczarę nawy, zstępują powoli w czeluść krypty. Zapadają w stalach. Czerwony płomyk mży przed ołtarzem. W tylnej ścianie czarne wnęki, w które wsuwa się zwłoki. Gdy zapełni się ostatnia, otwierają pierwszą, wymiatają próchno i kości, biją tablice. Proch jesteś i mijasz jak cień, przepadasz w zapomnieniu pokoleń. Powietrze jest duszne od zapachu kadzidła i siarczanych wyziewów mogił.

Cisza. Syczą tylko oddechy i chrzęst kulki różańców jak osypujący się wir.

Na środku na katafalku spoczywają zwłoki ojca Hieronima. Nim minie godzina będzie wydany na sąd.

Jeden z braci wstaje puszcza wahadło zegara. Wszyscy padają na kolana. Oto straszliwe memento. Strzeżcie upływającego czasu, każda strwoniona minuta was oskarża. Zgrzytają tryby, uderzenie kwadransa spada jak cios topora.

— „Panie, Panie odpowiedz mi, jak wiele mam nieprawości i grzechów, złości moje i występki okaż mi.

Przecż kryjesz oblicze Twoje i mnie-masz mnie nieprzyjacielem Twoim? Przeciw listkowi, który wiatr porywa okazując moc swoją, żdźbło suche gonisz. Piszesz bowiem przeciw mnie gorzkości i chcesz mnie zniszczyć grzechami młodości mojej.

Włożyłeś pęta na nogi moje i strzegłeś wszystkich ścieżek moich i śladom nóg moich przypatrywałeś się. Który jako rzecz zgnęła zniszczyć mam. Kto może uczynić czystym tego, który począł się z nasienia nieczystego. Azali nie Ty, który sam jesteś?

Krótkie są dni człowiecze. Zamknąłeś granice, które nie będą przestapione. Daj

mu tedy by odpoczął, aż przyjdzie upragniony, jako najemnika, dzień jego.

I znowu w grubej ciemności wybucha skarga.

— „Czy mniemasz, że umarli znowu żyć będzie? Przez wszystkie dni których teraz żałuję, czekam aż przyjdzie odmienienie moje. Zawołasz mnie, a ja odpowiem, dzieło rąk Twoich podasz prawicę. Tyś wprawdzie kroki moje policzył, ale przepuść grzechom moim.“

Bije o sklepienie błaganie. Pan milczy. Tylko zgrzytają tryby zegarów. Oto prawda o przemijaniu.

— Requiem aeternam dona eis Domine, et lux perpetua luceat eis.

Oto prawda o śnie i przebudzeniu. Do innego życia powołani, nie znajdujemy

Miał przeczucie, że szala przechylili się. Ufał, że będzie mu dana łaska oglądania odrodzonej miłości.

Zamiast witać, żegna odchodzącego przyjaciela i przewodnika.

— Gdyby tu przyjechała, pamięta jego rozkazujący gest, jedynie rozmowę może-cie odbyć tam — wskazał na konfesjonał.

Ale próżno ojciec Jan w nim zasiada, choć nadeszła pora wielkanocnej spowiedzi. Czasem zajrzy tu któraś ze starych wieśniaczek, które idąc zgarbione patrzą ufnie w ziemię wabiącą odpoczynkiem.

Kapłan stoi nad zwłokami. — Wybaw mnie Panie, woła za zmarłego, od śmierci wiecznej w on dzień straszliwy, kiedy niebios a i ziemia poruszone będą, gdy przyjdiesz sądzić świat przez ogień.

Życzenia Wesołych Świąt

składa wszystkim swoim
Przyjaciółom
i Nieprzyjaciółom

Redakcja »ODRY«

nasycenia, zarzucamy modlitwy jak kotwice w błękit bez dna. Boże wprowadź nas do ojczyzny naszej.

Jakże się czują mali. Nowa szczerba wyłamana w szeregu. Kogo tam we wielkim świecie Bóg swoim piętnem naznaczy, kogo wybierze... Pamiętają własne bunt, znają ciężar jarzma.

Zapalają świece. Ojciec Kosma w czarnym ornacie pogrąża się w misterium Ofiary. Teraz modlitwy tych kudłatych fratrów dudnią jak krok bojowy kohorty, słysząc twardy rytm stąpnąć naprzeciw mocom ciemności.

Ponad nimi płynie ojciec Hieronim, z kapturem opuszczonym na oczy, z dłońmi skrepowanymi różańcem. Światło drga w siwej brodzie, jak cień oddechu. Aż przyjdzie wieść oliwna.

Czyż napróżno ojciec Jan wygląda znaku? Czy noc którą przeżył, jest jednym z ogniw łańcucha? Zna ten ciężar, jak długo jeszcze wlec mu go przyjdzie? Zna dobrze jałowy trud walki. To nie zwątpienie, tylko smutek z bezskuteczności ofiary. Co dzień dobijać się do wrót, uderzać całym ciałem i znów upadać, budzić się, czując chłód ciągnący z kamieni na których leży krzyżem.

Spadają krople święconej wody, smuga świetlanych łez. Niosą go teraz na desce, zsuwają w mroczną niszę, jak chleb spycha piekarz w czeluść pieca.

Rzucają trzy garści piasku. Ojciec Jan czuje pomiędzy ziarnami, białawe kawałki wapna, jakby zbielełe okruszki pokoleń, dawno zeszlých pod ziemię. Piasek kładzie się, pogłębiając fałdy habitu, wróży spokojny sen.

Zaledwie wprawiono płytę i zazgrzytała kielnia, wybucha radosny śpiew:

„Niechaj wyjdą Aniołowie na twoje spotkanie sprawiedliwy, niechaj męczennicy zawiadą cię do wiecznego Jeruzalem.

Radujmy się bracia, jeszcze jeden z kościoła walczącego wstępuje w triumfujący. Nowego zyskujemy opiekuna i orędownika.“

Kiedy wychodzą z kościoła jest jeszcze ciemno. Ojciec Jan czuje gorę, idzie szurając sandałami, postarzały nagle przez tę noc.

— My żołnierze, mówi do niego w zafaniu brat Damian, wiemy to lepiej niż oni, wskazuje na rozchodzących się zakonników. Cóż zostało z armii Aleksandra, Napoleona, Hitlera? Co oni obiecywali swoim żołnierzom, że za nich ginęli z ra-

dością? Tracili życie walcząc w imię nienawiści. Dla nas ginących w imię miłości, niema śmierci, śmierć to tylko przekroczenie progu wiecznego życia. My rozumiemy ich posłuszeństwo, bo i nasz wódz Chrystus, żąda byśmy wytrwali, choć nie ogarniamy całego planu, choć zdajemy sobie sprawę z naszej klęski...

Tak, myśli ojciec Jan sięgając po modlitewnik. Trzeba utracić miłość, by miłość odzyskać.

Czuje w głowie tępe znużenie udreżonego bezsennością ciała. Za chwilę pójdzie odprawić Mszę.

Oto trzy ogniste rzeki wlewają się w świat — libido sentiendi, libido sciendi et libido dominandi. Niema dla nas ziemskiego ratunku — oprócz łaski. Tak woła marmurowa szarfa nad bramą kościoła — „rien que la grace“.

Drzwi celi zamykają się z trzaskiem.

* * *

O tej porze budzi się Teresa. Jest zdrętwiała, niewypoczęta po tym śnie w ubranu. Z trudem rozprostowuje skulone nogi. Orazu powraca jej świadomość wczorajszego zmagania. Podchodzi do okna. Nad Paryżem, ponad dachami ledwie zaznaczonymi w perłowym rozjaśnieniu, pęka złotawa szczelina.

Jakże rzadko mamy możność obserwowania misterium rodzącego się dnia. Jak rzadko świt zastaje nas czuwających.

Ogarnia ją ogromne wzruszenie. W tej ciszy, przez intensywniejący błękit, nieskażony dymami, czysty jak w dniu stworzenia, przybiega różowiejąca klinga. Purpurowieje, dymi gorącą czerwienią, jak brocząca rana: Powoli kurtyna ognia napina się i unosi. Strzelają trzy pęki promieni jak z Oka Opatrzności.

Czuje łyż dławiące ją w krtani — oto już ono — słońce!

Upada na kolana. Nawet nie wie jak się tym uwielbieniem żarliwie modliła. Czy i ten rodzący się dzień ma minąć jak inne? Ma ją zostawić w rozterce, walczącą ostatkiem sił? Jak długo jeszcze będzie jej się odnawiała łaska światła...

Wtłacza palce w oczy, czuje gałki pionące przez powiekę. Nagle łyż spływają jej do warg.

— Jakież Ty jesteś Boże straszliwy! Tyłko Ty możesz za moje obelgi i wzgardę mścić się miłością...

Tyle razy czuła, że coś ją odrywa, zabiera ze sobą, wlecze. Opierała się wtedy z wszystkich sił. Dziś poddaje się. Czuje że coś w niej pękło, razem ze łzami taje i spływa.

Wstaje ciężko opierając się o parapet. Szybka mętnieje od oddechu.

— Jade, szepcze.

* * *

W tej chwili ojciec Jan pochyla się nad Hostią. Jest to chwila najgłębszej ciszy, chwila najpokorniejszego uwielbienia.

Na górze słysząc tylko klekot sandałów, jakby głosy aktorów wchodzących na scenę.

Przejawy ruchu muzycznego na terenie Dolnego Śląska

Na początku był chaos. Zadanie „pionierów“ ruchu muzycznego ograniczało się do masowego wywozu instrumentów muz., księgozbiorów, oraz nut pod hasłem zabezpieczenia wartości kulturalnych. Na szczęście fala ta szybko przepłynęła i już od dłuższego czasu weszliśmy w tok należytej pracy nad rozbudową muzycznej kultury na Ziemiach Odzyskanych. Niewątpliwie trudności piętrzyły się z dnia na dzień coraz większe. W pierwszym rzędzie brak fachowo wykształconych rezerw pracowni ków utrudniał ujęcie poszczególnych dziedzin budzącego się życia. Ośrodkiem organizacji stał się Wrocław, siedziba województwa, który działał przez swój organ wykonawczy, Wydział Kultury i Sztuki.

Prace organizacyjne poszły w kilku kierunkach. Przede wszystkim ustalono rygor dla należytego zabezpieczenia, oraz przydziału instrumentów muzycznych, które Niemcy pozostawili w znacznej ilości a w wielu wypadkach pierwszorzędno rodzaju. W dalszym ciągu skoncentrowano uwagę na zapewnieniu bytu napływającym muzykom, — repatriantom, zdemobilizowanym żołnierzom. Dzięki inicjatywie mgr. Syryły została zorganizowana na terenie Wrocławia orkiestra symfoniczna.

Zespół ten, występując początkowo pod firmą Zarządu Miejskiego, przekształcił się z czasem w Filharmonię. Dotychczas notujemy 18 koncertów symfonicznych z udziałem wybitnych solistów polskich jak: Dr. Wandy Roesler-Stokowskiej, Ewy Bandrowskiej-Turskiej, Zbigniewa Drzewieckiego, Jana Hoffmana, Piotra Łoboza, Eugenii Umińskiej, Alfreda Szenkera i Józefa Madei. Ponadto orkiestra brała udział w akademiach i uroczystościach państwowych. Na specjalne wyróżnienie zasługuje działalność opery Dolnośląskiej, pozostającej pod kierownictwem Stanisława Drabika, który niezmordowanie pokonując przeszkody zwłaszcza materialne, organizuje na wysokim poziomie stojące przedstawienia operowe. Zaznaczyć należy, że opera cieszy się na terenie Dolnego Śląska dużym powodzeniem, oraz frekwencją publiczną. Przedstawienia „Halki“, „Cyrulika Sewilskiego“, a zwłaszcza „Rigoletta“ skupiły zarówno w sali Teatru Miejskiego we Wrocławiu, jak też na objazdach w Wałbrzychu, oraz w Jeleniej Górze tłumy audytorium. Duża rutyna sceniczna i doświadczenie pozwalają Drabikowi na niezawodną orientację w obsadzie ról, oraz pierwszorzędny dobór wykonawców (Pla-

tówna — jako Halka, Bandrowska-Turska — w roli Rożyny w „Cyruliku“, Tarska — w roli Gildy, oraz Dolak — w partii Rigoletta).

Doniosłą rolę w przyszłości spełni kielkujące szkolnictwo muzyczne. W tej chwili zorganizowano na terenie Dolnego Śląska szkoły muzyczne we Wrocławiu, Lignicy, Świdnicy, Jeleniej Górze, Kłodzku. Młodzież zaniedbana w okresie okupacji, ograniczona w możliwości nauczania, tłumnie garnie się do muzyki. Odczuwa się brak pedagogów-muzyków. Ostatnio dzięki wysiłkom czołowych pracowników w dziedzinie Kultury i Sztuki, oraz chętnych do pracy społecznej artystów rozpoczęto cykl koncertów popularnych — t. zw. lekcji słuchania muzyki, dla młodzieży szkolnej, oraz mas robotniczych. Zadaniem tych imprez jest wychowanie muzyczne społeczeństwa przez odpowiednio przygotowane prelekcje ilustrowane muzyką. Akcja ta cieszy się zainteresowaniem i poparciem zarówno czynników rządowych jak i najszerszych sfer społeczeństwa. Prace te rozszerzono na teren całego Dolnego Śląska.

Zdzisław Dembiński.

Listy z Polskiego Zachodu

Dzień w Matejkowicach

Ziemie Odzyskane zasiedlają obok chłopów, kupca i robotnika także ludzie kultury. Edward Kozikowski, poeta starszego pokolenia z grupy poetyckiej „Czartak”, osiedlił się w Matejkowicach pod Jelenią Górą.

Zaczyna się ten dzień dość wcześnie jak na porę zimową, bo przed szóstą rano. U drzwi rozlega się nieśmiałe pukanie. — „Kto tam?” — „Ich bin“... — słysząc przytłumiony głos kobiecy. To Niemka, dawna właścicielka domu, który obecnie mnie przypadł w udziale tu, w Matejkowicach, jako częściowy ekwiwalent za zdewastowane i zniszczone mieszkanie w Warszawie. Bo czym można wyrównać tę niepowetowaną stratę książek, zbieranych z maniakalnym uporem, wśród których znajdowały się pierwsze wydania i Słowackiego, i Krasickiego, i Mickiewicza. Zwłaszcza jedna, mała i niepokazna książeczka, oprawna w czarny półskórek. To pierwszy „Ballad i romansów“ z własnoręcznymi uwagami Mickiewicza, pisanymi na marginesie i w tekście wyblakłym już i zrudziałym atramentem. Książeczka nosząca na sobie ślady męczeńskiej przeszłości. Przedziurawiona grubym szpikulcem w dwu miejscach przy grzbiecie, wszyta była jako załącznik do akt sprawy Filaretów. Na stronie wewnętrznej okładki frontowej krótka uwaga w języku rosyjskim: książeczka zawiera tyle a tyle stron druku i tyle a tyle czystych, niezapisanych kartek. Pamiętam ją, jak bolesny uśmiech mej matki. Tyle razy wracałem do niej, rezerwując sobie nieopatrnie na później jakąś chwilę do podzielenia się z czytelnikiem treścią komentarzy Mickiewicza. I gdy dziś uświadamiam sobie, że to już nigdy nie nastąpi, żal wzbiera, jak rzeka na wiosnę... Ale nie czas na roztkliwienia! Wracajmy do przerwanej wątku.

Niemka daje znać pukaniem, że czas nakarmić krowę i kozy. Schodzę z wolna po schodach na dół, nasycony jeszcze ciepłem łóżka, pełen sennych widziadeł. Powieki ciążyą jak ołowiem. Otwieram trochę półprzytomnie drzwi obory. Owiewa mnie parujące ciepło o ostrym zapachu, drażniącym powonienie. Zwierzęta odwracają łby, wypatrujące pożywienia.

Ładuje się do żłobu siano, wyklócając się o każdy kosz, o każdą niemal naręcz z chudą, swarliwą Niemką, która stosuje metodę oszczędności, posuniętą do absurdu. Później znów targi o ziemniaki, których żałuje się krowie, uważając, że siano i woda powinny w zupełności wystarczyć. Udój poranny daje około trzech litrów mleka. Mało, grubo za mało! Krowa niedożywiona, chuda, głodzona przez długie tygodnie, nie może dać więcej. Sprawdzam wymioną. Wydojone do ostatniej kropli. Dlatego właśnie zamykam oborę na kłódkę i klucz zabieram do siebie. Dlatego asystuję przy każdym karmieniu i przy każdym udaju, aby skontrolować, czy Niemka nie kradnie i czy nie podaje fałszywych danych co do ilości mleka. I znów trzeba zwracać uwagę, że gnój trza zebrać łopatą i odrzucić na bok, że dać więcej słomy na podściółkę. Bo ta przysłowiowa gospodarność niemiecka, o której tak się mówi przy każdej sposobności, tu w obliczu rzeczywistości widać, jak jest mocno przesadzona i raczej powiedzieć należy, że w ogóle nie istnieje. Niemcy są brudni i niechlujni, co wylazło, jak szydło z worka, właśnie teraz, gdy skazani są na przymusowe oszczędzanie i na konieczność wiązania końca z końcem. Żałowali sobie zawsze, choć mieli w bród wszystkiego, żałują i teraz, gdy urwał się dopływ produktów i towarów z krajów podbitych. Może w miastach było inaczej i ludność miejska, mając pod ręką łańienki i elektrykę, dbała o zdrowie własne i o stan sanitarny mieszkań. Ale tu, na głuchej wsi dolnośląskiej, gdzie trzeba toczyć nieustanną walkę z przyrodą, która nie jest łaskawa, chłop niemiecki mało dbał o higienę i sprawa sanitarna była dla niego tematem odświętnym. Rzuca się to w oczy tutaj na każdym kroku, widać, że wrosło to w psychikę niemiecką nie od dziś i że słowo „Niemiec“ wcale nie jest synonimem porządku i czystości, jak to w nas wmawiano od wieków, w szkole i w prasie. Owszem, oszczędność, dochodząca do obrzydliwego

skąpstwa. Wpajana w tępe mózgi niemieckie przez różnych zbrojeckich pastuchów, do których naród niemiecki miał wyjątkowe szczęście, sknerstwo to, polegające na gromadzeniu dóbr doczesnych i odejmowaniu sobie od ust byleby tylko odłożyć grosz, wychodzi na jaw przy każdej sposobności.

Po śniadaniu trzeba sprawdzić, ile jest słusznosci w tych rzucanych od niechcenia pod nosem uwag Niemki, że siano nie starczy, że ziemniaków nie starczy przy mojej rozrzućnej gospodarce. Wdrapujemy się na strych i dalejże z Niemcami zaczynamy przerzucać siano. Już po paru przerzutach widać, jaki tutaj panuje ład i porządek. Siano związane ze słomą nie powiazaną w snopy i z trawą bagienną, używaną na podściółkę, wypełnia zakątki strychu. Trzeba wszystko to sortować, słomę wiązać w snopki, oddzielać jedno od drugiego. Polak z Kraju, który lata strawił przy biurku, poucza tubylców osiadłych z dziada pradziada na roli, jak należy przechowywać siano i słomę. Istotnie jedno i drugie czuć już gnilnym zapachem i niewiele brakuje, żeby siano stało się nie do użytku. Niemcy niechętnie i dość ociężale się poruszają, ale cóż, zarządzenie zarządzeniem i trzeba je wykonać. Później dopiero wychodzi na jaw powód tej ociężałości i ociągania się. Gdzieś, na spodzie, poutykane po kątach, leżą jakieś worki z mąką, skrzynki z owsem, koła od roweru, szapoklak w pudełku, kawa w paczkach, papier toaletowy, brykiety i mnóstwo drobnych rzeczy, gromadzonych z filatelistycznym maniactwem, tak charakterystycznym dla narodu niemieckiego, i z zacięklą chciwością ukrywanych przed okiem ludzkim. Wszystko to — przykryte jakimś choinami, z których dawno już osypały się igły. Aby trudniejszy był dostęp i aby szukająca ręka cofnęła się w porę. Zażenowanym Niemcom, tłumaczącym się gęsto, że koła od roweru to nie ich własność, tylko syna, który nie wrócił z wojny, mówi się parę słów do słuchu, że takie marnowanie darów bożych to — zbrodnia nie do darowania, że ziemia nie po to rodzi, aby plody jej skazywano na zagładę. Po sprawdzeniu okazuje się, że rzeczywiście mąka zalatuje stęchłą, a owies pokrywa lekki nalot pleśni. Taką jest gospodarka niemiecka.

Po spenetrowaniu strychu i przerzuceniu siana zapędza się Niemców do porządków w całym domu, nie dlatego, iż przyszła wiadomość od sołtysa, że jutro, pojutrze zawita do Matejkowic starosta i będzie chodził po gospodarstwach, aby się przekonać, jak to Polacy się rządzą na nowych śmieciach, ale — że to leżało już od dawna w moich planach i czekało się tylko na jakiś odpowiedni moment, aby zamierzenie to wykonać. Trudno opisać, co się dzieje na różnych przygórkach, gdzie pełno schowków i jeszcze pełniej beżytecznych rupiec. Stare brudne szmaty, pudła i pudełka, i znów brykiety, jakieś listy z ubiegłego stulecia i „Die Heilige Schrift“ w opracowaniu Marcina Lutra, i hitlerowskie odznaki, i paczki proszku do prania, suchary i obierzyny ziemniaczane i skorupki od jaj, jednym słowem wszystko, co mieści się w zasięgu możliwości ludzkiej, znajduje się tutaj po-

chowane po zakamarkach, w niesamowitym bezładzie, pod pokrywą grubo nawarstwionego kurzu, w nieopisanym zaduchu. Zanim się to wszystko doprowadziło do porządku, zapada zmierzch i trzeba przerwać pracę do jutra.

Po obiedzie idzie się na zebranie gromadzkie do pobliskiej szkoły, bo jednak nie można uchylać się od obowiązków społecznych; choć zmęczenie fizyczne daje się dobrze we znaki, żyłka starego społecznika bierze górę. Na zebraniu, jak to na zebraniu, porusza się wszystkie bolączki, dając często folę namiętnościom, wybuchającym może nieraz w sposób nazbyt krańcowy, ale niewątpliwie płynącym z pobudek szlachetnych. Piętnuje się na oczach wszystkich parszywe owce, które przynoszą wsi wstyd i ujmę, nazywa się po imieniu szabrownictwo i złodziejstwo. Jakaś porucznikowa ze łzami w oczach tłumaczy się, że wyniosła dywan z powierzonego jej opiece domu, bo ma męża chorego w Otwocku, który jest całkowicie na jej głowie. Inny znów osadnik, który przed paroma dniami powrócił z aresztu, spowiada się zresztą dość mętnie ze swych wyczynów, które zaprowadziły go do celi więziennej. Ze ten pistolet to kupił od jakiegoś znajomka i to zepsuty, że go sam wyreperował, ale że wójt wiedział o tym. Ze długie miesiące spędził z siostrą w obozach w Niemczech, gdzie go męczono i katowano. Ze grubsze pieniądze zarobił na szkleniu domów, że nawet parę tysięcy dał na kościół i że go sam proboszcz z ambony wymienił jako dobroczyńcę. Zebrani jakoś nie dają się wziąć na lep tych roztkliwiających opowieści, działających jak krajana cebula. Wypowiadają się — poza jakimś paniusiami — rzeczowo i twardo, stoją na stanowisku bezwzględności. Skoroś wzięła i wyniosła, skoroś rewolwerem groził temu i owemu, to nie ma dla was wśród nas miejsca. My tu wszyscy pracujemy w pocie i w trudzie, by utrwać na tej zniemczonej ziemi polskość, by ten grunt przeorać głęboko duchem narodowej samowiedzy, by obsiać go ziarnem szlachetności i uczciwości. Rozchodzimy się do domów późnym wieczorem, mając pełne uszy spraw drobnych, trochę maglarskich, ale od których trudno uciec i trudno się odгородzić chińskim murem obojętności. zwłaszcza w tak niedużej wsi, Jak Matejkowice.

I tak minął dzień zimowy, jeden z wielu, który niewątpliwie tutaj, na Zachodzie trudniej przeżyć, niż napisać księgę. W międzyczasie, w jakichś wolnych od zajęć gospodarskich chwilach zasiada się do biurka i pisze się artykuły, robi się korektę „Śląska“, układa się słowo wstępne do ogłoszenia przed koncertem czy przed stawieniem Wojewódzkiego Teatru Dolnośląskiego w Jeleniej Górze.

Zamiera dzień.

Ostatnie chwile przed spoczynkiem nocnym wyzyskuje się na przerzucenie gazet i pism, przewertowanie nowości księgarskich, odpisanie na listy, które poczta w ciągu dnia przyniosła.

Tak wygląda dzień robotcy osadnika i pisarza na najbardziej wysuniętej forpoczcie zachodniej. w samym pasie pogranicza.

Edward Kozikowski.

Wałbrzych! Wałbrzych!

Wałbrzych, w kwietniu.

— Daleko jeszcze do placu Grunwaldzkiego? — zwraca się do mnie w tramwaju z pytaniem młody człowiek. Dowiaduję się, że pochodzi gdzieś spod Pruszkowa. Obrzydła mu ciężka dola robotnicza, jedzie więc w poszukiwaniu lejszego zajęcia na zachód. Tu podobno brak ludzi. Ma więc nadzieję, że może uda mu się uzyskać jakieś kierownicze stanowisko. Ostatecznie, zgodziłby się i na prowadzenie przydzielonego przez T. Z. P. jakiegoś sklepu z większą ilością towaru pozostałego po Niemcach...

Gdy wyrażam wątpliwości co do pomysłnych rezultatów tych zamierzeń, nie

wierzy mi, spogląda nieufnie i nie próbuje już nawiązywać dalszej rozmowy.

Nie jest to wypadek odosobniony. Traktowanie Ziem Odzyskanych jako terenu łatwych możliwości wzbogacenia się jest wciąż jeszcze dosyć powszechne. Zapatrywanie takie, wszędzie w konsekwencjach ujemne, w okręgu ściśle przemysłowym, jakim jest Wałbrzych, staje się tragiczne. Największą tu bolączką jest chroniczny brak robotnika polskiego. Reflektantów na stanowiska kierownicze w przemyśle czy administracji są setki, robotników niema prawie wcale. Jak opowiadał jeden z dyrektorów wielkich przedsiębiorstw budowlanych, dziennie przyjmuje on oko-

ło 40 petentów o pracę. Angażuje przeciętnie jednego na dwa dni. Reszta — to „kierownicy“ bez minimum kwalifikacyj.

Skąd nader powolne zmniejszanie przeważającego stosunku pracujących Niemców do Polaków. I tak dla przykładu: delegatura Ministerstwa Odbudowy na 40 tys. pracowników i robotników posiada tylko 3 tysiące Polaków. W żadnej z kilkunastu kopalni węgla nie pracuje więcej Polaków niż Niemców. Dochodzi do takich absurdów, że dla buchalterii i administracji, prowadzonych w przedsiębiorstwach głównie przez Niemców, pisze się raporty i rachunki w dwu językach.

Niemców w Wałbrzychu i najbliższych okolicach jest jeszcze dużo. Śmieszne i celowo fałszywe są rozpaczliwe pienia niektórych organów prasowych Europy Zachodniej o rozpaczliwej sytuacji Niemców w Polsce. Ubrani przeważnie lepiej od Polaków, lepiej na ogół stoją też finansowo. Warto zająć np. w sobotę do sklepów z mięsem. 90 procent kupujących i to pokaźne ilości towaru — stanowią Niemcy. Zresztą, jeżeli i zarabiają nawet gorzej od naszych robotników, to do pokaźnej sprzedaży mają jeszcze dużo przedmiotów, niekoniecznie nieodzownych, z czego mogą się niezgorzej utrzymywać.

Zaczynają przenikać do Wałbrzychu i wpływy organizacyj podziemnych niemieckich. Na terenie pogranicza sudetkiego od kilku już miesięcy rozwija ożywioną działalność t. zw. KUF. („Kampf um Freiheit“) o tendencjach „antynazistowskich“. „Wehrwolf“ na Dolnym Śląsku nie miał bowiem mocnego poparcia. KUF. w Wałbrzychu, o ile można się zorientować, znajduje się chyba jeszcze w stadium organizacyjnym. Jak fama niesie, KUF. otrzymywać ma poparcie ze strony czeskiej.

Jak najprędzkie pozbycie się elementu niemieckiego jest troską miasta. Nie da się tego osiągnąć bez poważnego zastrzyku siły fachowej polskiej. W dzisiejszej sytuacji wysiedlenia Niemców z Wałbrzycha unieruchomiło by cały przemysł. Stałyby kopalnie węgla, nie mogłyby pracować huty szklane, przerwałyby się prace nad odbudową. Trzeba więc jak najliczniejszych rąk roboczych polskich.

I tak — dalszy pobyt Niemców komplikuje sytuację mieszkaniową, zaczyna się już bowiem odczuwać brak pomieszczeń dla osiedleńców polskich. Trochę mieszkań uwalnia się dzięki dobrowolnej repatriacji Niemców, wyjeżdżających w kierunku granicy za pewną opłatą autami sowieckimi. Ilość tych ochotników nie przekracza jednak kilkudziesięciu tygodniowo.

Napływowi większej ilości pracowników i robotników Polaków przeszkadza oczywiście ciężka sytuacja materialna. Z wyjątkiem przemysłu, gdzie pensje są wypłacane regularnie, większość urzędów i instytucji, jak starostwa, Urzędy Ziemskie czy skarbowe, operuje jak dotąd systemem t. zw. zaliczek. Z wyjątkiem Zjednoczenia Energetycznego, dodatek 50-procentowy dolnośląski nigdzie prawie nie jest wypłacany.

A proporcja stawek płacy do cen jest stanowczo za niska. Weźmy jako przykład stołówkę Zjednoczenia Węglowego. Od osoby z rodziny robotnika pobiera się 20 zł. dziennie — co w stosunku miesięcznym wynosi zł. 600. Jeżeli rodzina składa się z 4 osób, wyniesie to w tymże stosunku 2400 zł. — więcej, niż wynosi przeciętna pensja. A mieszkanie, światło, opał, jakaś gazeta, teatr czy kino — na to już niema skąd czerpać pieniędzy. Otwiera się pole do szabrownictwa i wszelkich nadużyć łapówkarskich. Uczciwi wolą zrezygnować z osiedlenia i powracają do centrum kraju. Stąd nie rzadkie wypadki t. zw. reemigracji wewnętrznej.

Niemniejszą bolączką Wałbrzycha są trudności aprowizacyjne. Brak zapasów na miejscu przy dorywczym, nieregularnym dowozie wpływa na olbrzymiąwyżkę cen, szczególnie tłuszczów. Transport prywatny artykułów żywnościowych został oficjalnie dozwolony dopiero od kilkunastu dni — dotychczas podlegały one konfiskacie.

Sprawa transportu przedstawia się fatalnie. Chociażby opału. Wszędzie piętrzą się w Wałbrzychu olbrzymie góry świetnego koks. Cena — 314 zł. za tonę. Ale przetransportowanie chociażby o parę ulic wynosi od tony co najmniej to samo, a nawet i więcej. Istniejący tabor też nie jest należycie zorganizowany i wykorzy-

stany. Np. firma transportowa „Krause” — obecnie upaństwowiona, posiadała uprzednio troje koni i zabezpieczała byt jednej rodziny. Dziś — te trzy konie zarobić muszą na byłego właściciela — Niemca, zarządzającego Polaka i jego pomocnika. A więc 3 rodziny. W skutkach — i konie wyglądają jak szkielety i ceny transportu są niepomiarne drogie.

Dużym minusem Wałbrzycha jest nie-regularna jeszcze kwestia szkolnictwa, szczególnie średniego. Głośnym echem odbiła się tu sprawa gimnazjum koedukacyjnego, gdzie brak subwencji (gimnazjum bowiem zorganizowało się samorządnie) omal nie doprowadził do likwidacji uczelni. Sytuację uratował komitet rodzicielski, opodatkowując rodziców po 150 zł. od ucznia na pensję dla nauczycieli. Pomocy ze strony urzędowej mimo ciągłych interwencji niema i nadal...

Do dziś dnia brak jest ogromny szkolnictwa zawodowego, tak nieodzownego w rejonie przemysłowym, jakim jest Wałbrzych. Czas by zorganizować chociaż jakiegokolwiek kursa dokształcające dla niedouczonej fachowców. Istnieje wprawdzie oświata pozaszkolna dla młodzieży, ale o charakterze raczej ogólnym, nie zaś fachowym.

Mimo tych wszelkich trudności i braków, życie tak ekonomiczne, jak kulturalne rozwija się powoli lecz stale.

Wszystkie kopalnie są w ruchu, a wydajność ich przewyższa o wiele zakresło-

ne planem wymagania. Transport węgla w głąb kraju zorganizowany jest w zagłębiu dolnośląskim lepiej niż gdzie indziej. Tutaj nie mieliśmy wypadków palenia się hałd węglowych. Huty szklane pracują i zwiększają produkcję. Liczba nieruchomości dotąd fabryk i zakładów przemysłowych maleje z tygodnia na tydzień. Rzemiosło i drobny przemysł prywatny otrząsają się z psychozy tymczasowości i rozpoczynają normalną pracę.

Nie brak i w pracy przemysłu pewnych niedociągnięć, czy nawet już i przeholowań w inicjatywie i energii. Oto np. Zjednoczenie Energetyczne w usilnym staraniu o podniesienie skali swych dochodów, sprawdza przy pomocy całego sztabu kontrolerów ilość kontaktów w poszczególnych mieszkaniach. Od kontaktu pobiera się dodatkowo zł. 13. Uderza to głównie we właścicieli licznych pensjonatów w Solicach-Zdroju i innych uzdrowiskowych miejscowościach podmiejskich. Przy przeciętnym stanie dwóch kontaktów w pokoju a ilości tych ostatnich np. 40 — wyniesie to w prostym rachunku 1040 zł. Nie każdy „Jacuś” czy „Jadzia”, przyklej jak dotąd frekwencji, podobne obciążenie wytrzyma...

O istotnie silnym ożywieniu życia kulturalno-społecznego Wałbrzycha nie będzie świadczyć oczywiście panująca tu dzisiaj formalna mania zebrań. Wszędzie się słyszy i czyta o jakichś konferencjach,

obchodach, wiecach i sprawozdaniach. Partyjnych, międzypartyjnych, nad- i pod-partyjnych, towarzyskich, literackich czy zgoła grafomańskich.

Faktem jest, że miejscowe społeczeństwo polskie przejawia w ostatnim okresie dążenie do zorganizowania życia społecznego, na miejsce panującej tu dotąd zupełnej pod tym względem anarchii.

W myśl tych dążeń zawiązał się ostatnio komitet, mający na celu zorganizowanie życia artystycznego w Wałbrzychu. W programie najbliższym przewiduje się organizację poranków symfonicznych, zebrań o charakterze literacko-artystycznym, uruchomienie bibliotek

Zarząd miasta organizuje wielką wypożyczalnię książek przy pomocy specjalnego komitetu bibliotecznego. Poczynione zostały starania w Min. Oświaty o przekazanie Wałbrzychowi bibliotek polskich z Bugu. Władze sowieckie obiecały swoje poparcie w tej sprawie. Niezależnie od tego nawiązany ma zostać kontakt z Uniwersytetem Jagiellońskim dla przeniesienia na Dolny Śląsk zbiorów biblioteki krzemienieckiej.

Pęd do organizowania życia kulturalnego tak powszechnie zapanował w Wałbrzychu, że nawet „Społem” pragnie utworzyć bibliotekę ogólną. Inna rzecz, że nie tyle z własnych funduszy, ile z darów społecznych. Bardzo to chwalebne, ale czy nie lepiej byłoby, żeby prace nad kulturą i oświatą pozostawiono czynnikom spe-

cialnie do tego powołanym, a samym zorganizowało się lepiej dostawy aprowizacyjne...

Zawiazane zostały niedawno i przejawiają ożywioną dosyć działalność „Caritas”, Czerwony Krzyż, Tow. Opieki nad żołnierzem itp.

Całość życia społecznego i kulturalnego koncentrować się będzie w największej sali miasta (b. kino „Capitol”), zajętej dziś na dom Czerwonej Armii, a mającej być wkrótce przekazanej miastu. Przeniesie się tu wtedy i teatr miejski, mieszczący się dziś za miastem. Teatru własnego Wałbrzych nie posiada. Przyjeżdża tu natomiast przeciętnie raz w tygodniu teatr jeleniogórski.

Duże ożywienie wprowadziły zorganizowane ostatnio występy artystów z całego kraju, jak Gardy, Habdank-Kozubskiego i innych.

Miasto się rozrasta. Nie tylko na skutek przybywania coraz nowych osiedleńców, ale i skutkiem przyrostu własnego. Najmłodszy obywatel polski wyzwolonego Wałbrzycha (matce zarząd miasta ofiarował premię — 2 tysiące zł.) dobiega już 8 miesięcy wieku, wyprzedzając około 100 swych kolegów — urodzonych wałbrzychan. A są i dalsze nadzieje. Co dnia niemal widzi się jadące staromodnymi kołasami korowody weselne...

Eugeniusz Paukszta

Marian Niewiarowski

CZAS W DROGĘ

(Fragment powieści.)

Tego dnia padał deszcz i jak zwykle staliśmy w dwusereg, wyprostowani, bez czapek i marynarek. Już minęły dwie godziny, a Binek jeszcze nie przyszedł. Zmoknięte do szczytu koszule przylepiały się do ciała, a spodnie zwisały, jak rury deszczowe. Woda docierała wszędzie i było przejmujące zimno.

Nigdy nie wiadomo było, dokąd nas Binek zaprowadzi. Miał on swoje specjalne pomysły. Dwa dni temu wywieziono ulicę Rynkową — była tam i matka Kolomana — natychmiast zjawił się Binek i nasza kolumna poszła odrazu do zalewania dołów wapnem. Nie wiem, czy Koloman odnalazł wśród zwału trupów swoją matkę, widziałem tylko, że nad jednym z dołów, obok którego nikogo nie było, stał długo, niezwykle długo i zalewał mniej wapna, niż potrzeba było. Widziałem go zdaleka i chciałem podejść, ale natknąłem się na Edka, który odradził.

— Zostaw go — powiedział — daj mu przyjść do siebie. Jak wróci pogadamy.

— O czym można było mówić po powrocie? Wiedzieliśmy wszyscy dokładnie: skończyło się, kropka, nie ma wyjścia, szlus. Wczoraj pani Tatiana — jutro sam Koloman. Wczoraj ulica Rynkowa, jutro nasza ulica. O czym tu mówić? Wstajemy rano, a słońce świeci, jak zwykle. Kładziemy się spać, a księżyc świeci, jak zwykle. Jest gorąco, więc znów pójdziemy ładować do wagonów. „Jadę na śmierć, Aneczko kochana, córko moja jedyna, gdziekolwiek jesteś, pomścij twego ojca, ty, która się uratowałaś!” „Ojcie kochany, piszę do Ciebie ostatni raz, już stąd nie ma wyjścia, jadę do Treblinki, skończyło się, jak pojedziesz tym samym wagonem, wiedz, że mnie już nie ma”. „Śmierć Niemcom — za nasze męki — za nasze cierpienia — stokrotnie będą cierpieć — stokrotnie gorzej będą umierać — przekleci mordercy, kaci — przekleci...”

No i co z tego??? Zmywaliśmy te napisy gorącą wodą, a na wszystkich ulicach robiło się coraz bardziej pusto. Opustoszały szpitale i urzędy, cicho, spokojnie, uchodziło od nas życie codziennie rano, budząc nas tylko osamotnionym, przeraźliwym krzykiem mordowanej kobiety, albo strasliwym wyciem dziecka...

Jeszcze jeden krzyk, jeszcze jeden płacz... i to się skończy.

Ile jeszcze dni zostało? Tydzień, a może tylko cztery dni, póki dojdą do nas?

— No meine Herren — Unterscharführer SD Arnild Binek, rodem z Hamburga, były kelner, miewał niekiedy dobry humor — dzisiaj pójdziemy na dziewczynki.

Ilu was jest? Dziesięciu? Oh, es wird reichen...

Deszcz lał bezustannie. Szliśmy gęśiągo za Binkiem, który z uśmiechem zdobywcy prowadził grupę. Karabin ręczny przez ramię, rewolwer u boku...

Zbliżaliśmy się powoli do grupy dziewcząt, a Koloman, który siedział za mną, zaczął je powoli poznawać.

Oto stoi Marta, Zuza, tej trzeciej nie zna, Ewa, Mira, a to kto? Koloman, Koloman, Edyta pójdzie z nami, zobacz, stoi w szeregu.

Uśmiechała się z daleka do Kolomana tak dziwnie, jak to ona potrafiła, i tak smutnie, jak tylko do Kolomana uśmiechała się...

Jeszcze teraz, kiedy już nie ma nikogo, pamiętam ten uśmiech i ilekroć spotykam przechodzącą ulicą dziewczętą, przypominam sobie Edytę. Miała oczy nieco zamglone, spojrzenie powłóczyście, sentymentalne. Gdy patrzyła, zdawało się, że spogląda poza ciebie, ale widzi wszystko. Mówiła powoli, cedząc słowa, z rozważą i ostrożnie.

Dokąd nas Binek poprowadzi?

Jak tylko wyszliśmy za bramę otoczyła nas grupa SS-manów, włoczyła nas w samochód i dopiero gdy motor zawurczał, znalazłem odpowiedź. Teraz na nas kolej, zwykła rzecz i nie rozumiem, dlaczego mamy się tak przejmować. Ale w taką pogodę? Nie mogliśmy darować Binkowi, że wybrał taki dzień. Nieraz słyszałem to i nieraz widziałem. Odjazd...

i nie ma powrotu. Tak pojechał Heniek Kort, tak pojechała Julia Utian, tak pojechała matka Julii i ojciec Heńka...

Jaka to ulica? Pojadą chyba do lasu w Grandzicach. To znaczy, jeszcze z 10 minut drogi. A potem? Czy jeszcze stoją tam te słupy, na których 3 miesiące temu powieszono 11 matek wraz z małymi dziećmi? Długo wisiały na wietrze, a chłopie okoliczni przechodzili ze strachem obok lasu, z trwogą w sercu oglądając ponure widowisko i żegnając się, omijali spieszenie to miejsce. Wisiała przez trzy tygodnie siostra Edka, Mela z przywiązaniem do niej małym Fredkiem. Zdjęliśmy ją potem i zakopali obok wzniesienia, gdzie było mrowisko. Zjedzą je mrówki — mówił Edek — i głaskał zimne i oślizgłe czoło czterolatniego siostrzeńca.

A więc jeszcze 10 minut. Wyjdziemy z auta, rozbierzemy się, dziewczęta chyba później wykończą, ubrania zabiorą... Tak, ale przecież nie ma tam jeszcze dołów, więc będziemy musieli sami je kopać. To znowu przedłuży całą sprawę o 20 minut. A może już przed tym inna grupa przygotowała doły? A kto zasypie nas wap-

nem? Nie mogliśmy zupełnie zrozumieć takiego braku organizacji. Nasza była ostatnia grupa i innych t. zw. Hilfskolonne już dawno wykończono. Więc sami esesowcy to robią. Siedząc w aucie, uśmiechałem się do nich. Choć raz zabrudzą swoje eleganckie mundury. Ciekawe tylko czy będą strzelali z tyłu, czy też normalnie poustawiają nas przed dołami i każą odśpiewać jakąś wesołą piosenkę, a potem... „połóż się, patrzcie prosto na mnie... i achtung, bald kommt das Ende...”

Dokumenty zbrodni

Dokumenty zbrodni i męczeństwa. Wydawnictwo Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie 1945. Str. 214.

Strasliwa książka, która musi poruszyć najbardziej odrętwiałe serca. Spokojna, oschła relacja najpotworniejszego męczeństwa, kronika wyszukanych tortur, protokół z zagłady całych milionów. Tu już nie odgrywa roli cierpienie jednostki, rozdarcie rodzin, praca nad siłą i upodlająca śmierć, tu przedstawiono nam dokument zorganizowanego, przycyńskiego działania machiny hitlerowskiej, wyniszczającej całe żydostwo europejskie, mamy niezbité dowody totalnej winy narodu niemieckiego, za którą naprożno oczekujemy totalnej kary.

Opisywane zbrodnie były dokonywane pod naszym bokiem, o krok, a jednak nie znaleźliśmy całej prawdy. Mur ghett, presja hitlerowska i własne cierpienia oddzieliły nas dostatecznie. Byliśmy otepiali i choć wiedzieliśmy, że gdzieś rozstrzelują i wywożą, mijali to bez zbiorowego odruchu, bez poczucia solidarności. Prawda, że byliśmy bezsilni. Ale zeznania niezliczonych ocalałych Żydów oskarżają cały Ruch Podziemny, że zbyt mało udzielił im pomocy, mimo świetnie rozbudowanej sieci, oskarżają nas wszystkich, żeśmy nie przeciwdziałali dostatecznie judzkiej propagandzie rasistowskiej.

W latach walki miałem dostęp do prawie całej prasy podziemnej. W obronie Żydów poważniej występowała prasa katolicka, nie ograniczając się jedynie do oczywistych frazesów nawołujących do współczucia. Muszę tu wymienić poważne pismo, o problematyce głównie etycznej, redagowane przez Zofię Kossak-Szczucką — była nim „Prawda” warszawska.

Długo interesującym uzupełnieniem do historii martyrologii Żydów pod okupacją byłaby sprawozdania o udzielonej im przez Polaków pomocy, poczynając od ukrywania poszczególnych jednostek, aż po wcielanie całych grup w oddziały partyzanckie.

Gusta Dawidsohn-Draegerowa „PAMIĘTNIK JUSTYNY” Kraków 1946, str. 113.

„Pamiętnik Justyny” jest garścią kart ocalałych z więzienia, gdzie autorka, oczekując na wywiezienie do obozu, szczegółowo opisywała wrzuszające próby stworzenia pierwszych ogniw Żydowskiej Organizacji Bojowej. Pomimo okrzykanej solidarności plemiennej, młodzież żydowska musiała zwalczyć mnóstwo trudności, zgromadzić pieniądze na zakup broni, zorganizować biuro lewych dokumentów i ustalić meliny. Wrogami byli nie tylko Niemcy i chcieli gotowi do szantażu chłopcy, ale i wewnątrz murów ghett krążyli szpiegi. Żydzi, którzy dla ratowania swego niekennego życia i lepszego życia, wydają na śmierć swych braci. Młodzi chłopcy i dziewczęta instynktownie wkraczają na drogę walki, nie dadzą się spokojnie zabijać, organizują obronę i atak. Jesteśmy świadkami podporządkowania jednostek, ofiarowania mienia i życia organizmowi zbiorowemu, zespolowi, który ma rozwalić mury i ułatwić drogę do wolności.

Cała ta szczupła książeczka jest jednym hymnem na cześć przyjaźni i ofiarności, pełna uwielbienia i podziwu dla tych, którzy swe życie za sprawę oddawali łatwo i prosto. Justyna wie co ją czeka, ale idzie na śmierć odwrotnie. O sobie mówi niewiele, chce przede wszystkim pokazać nam towarzyszy, którzy w niej roznieśli zapal i ugruntowali wiarę, że krew i cierpienie nie idą na marne, że przed nimi jest wolność i odrodzenie narodu.

Wojciech Zukrowski

ODBUDOWUJEMY BIBLIOTEKI

W dniach Święta Oświaty dla popularyzacji taniej książki
do dnia 15-go maja br.

PRUS, REYMONT, BALZAC W AKCJI SUBSKRYPCYJNEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA”

z premiami dla naszych czytelników.

Wypełnić i przesłać:

DO SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA”

Łódź, Piotrkowska 86

Niniejszym subskrybuje i wpłacam na konto PKO VII/995zł, cena w subskrypcji

..... PRUS Lalka 3 tomy zł. 250.—
..... PRUS Faraon 3 „ „ 250.—
..... REYMONT Chłopi 4 „ „ 340.—
..... BALZAC Stracone złudzenia 5 tomów „ 560.—

Łącznie z przesyłką 15 tomów, około 5000 str. zł. 1.400.— Każdą książkę można zamawiać oddzielnie. Wysyłka w ciągu maja, czerwca i lipca br. W sprzedaży księgarskiej po cenach znacznie wyższych od sierpnia 1946 roku.

.....
Dokładny adres Podpis
Czytelnicy których numer karty subskrypcyjnej będzie podzielny przez 20, otrzymają cenne premie książkowe.
Lista premiowanych w najbliższych numerach pisma.

Sprawy teatru

Wilam Horzyca — profil człowieka teatru

W tych tygodniach minęła rocznica otwarcia pierwszego powojennego sezonu teatralnego w Katowicach. Pierwszą powojenną dyrekcją kierowali: Karol Adventowicz i Wilam Horzyca. A oto wspomnienie o Wilamie Horzycy, człowieku teatru:

Dzieje teatru tworzą nie tylko autorzy, aktorzy i reżyserzy, inscenizatorzy, ale też inicjatorzy i organizatorzy, oddani bez reszty tej sztuce jak dawniej Koźmian, Pawlikowski a dziś niewielka grupka ludzi teatru tego pokroju, z Wilamem Horzycą na czele.

Dzieje Wilama Horzycy, człowieka teatru są proste, choć pełne treści. — Dwa-dzieścia lat z górą temu obejmuje w War-szawie kierownictwo literackie Teatru im. Bogusławskiego, gdzie pracuje kilka lat, potem kierownictwo Państwowej Szkoły Dramatycznej późniejszego Pistu. Przez lat siedem jest dyrektorem teatrów lwow-skich, wreszcie osiąga godność dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie. Po przerwie lat wojennych w najcięższych warunkach organizuje Teatr im. Wyspiań-skiego w Katowicach, a obecnie prowadzi Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu. Tu spotkał go zaszczyt, który musi być w dziejach sceny polskiej szczególnie podkreślony: Wilam Horzyca został pierw-szym w Polsce wykładowcą, który otrzy-mał katedrę teatrologii nowokreowaną przy toruńskim uniwersytecie.

W którymkolwiek teatrze pracował od zaczątków swej kariery do chwili obecnej, wszędzie był znakomitym rzednikiem wielkiego polskiego repertuaru w pogię-bionej inscenizacyjnej formie. Jako dyrek-tor Państwowej Szkoły Dramatycznej roz-budzał kult wielkiego repertuaru swoj-skiego i zagranicznego.

Dążenie to i umiłowanie monumentalne-go teatru nie na powierzchniowych, płyt-kich pobudkach, jest oparte a zrozumiałe być dopiero może na tle książki Wilama Horzycy „Dzieje Konrada“.

Cztery zawarte tam prace zasługują na szczególną uwagę „Dzieje Konrada“ (sta-d tytuł całej książki), „Wieszdz wolnej Pol-ski“ (C. K. Norwid), „Półbogi i sielanki“ (Rzecz o „Achilleidzie“), „Między dawnymi a przyszłymi laty“.

Najjaskrawiej rysuje się profil duchowy W. Horzycy w rozprawie tytułowej. Jest to mówiąc górnym stylem, rodzaj mistyki narodowej opartej na poezji naszych wiel-kich twórców. Symbolem ciągłości dzie-jów tej mistyki jest mickiewiczowska po-stać Konrada. Widzi jego ducha Horzyca nie tylko w „Dziadach“, ale w całej twórc-zości Mickiewicza. Widzi go w tragicz-nych dziejach martyrologii polskiej i apo-teozę w czynie „Wyzwolenia“.

W szkicu „Wieszcz nowej Polski“ zoba-czył u Norwida przede wszystkim pozyty-wny stosunek do „obecności“, do rzeczy-wistości i jego uniwersalną koncepcję re-ligijną świata. Daje więc twórczość Nor-wida, ów pomost między koncepcjami ro-mantyzmu, a współczesnością naszych prac i ideałów.

W ciekawej analizie „Achileidy“ Wy-spiańskiego zatytuowanej „Półbogi i sie-lanka“ podkreśla, że wielkiemu drama-turgowi chodziło o wolę i myśl przyszłe-go Polaka. W spuściźnie więc najlepszych naszych poetów wieku XIX widzi łączność

„między dawnymi, a przyszłymi“ laty, której ostatnim ogniwem był Wyspiański.

Na tle tych poglądów rozumiemy, że dla Horzycy każde wystawienie kóregoś z ar-cydział dramaturgii polskiej jest umożli-wieniem infiltracji idei wieszczów w ży-wy organizm naszej społeczności, jest od-budową i pogłębieniem możliwości kultu-ralnych Polski.

Tylko głęboko motywowane stanowisko artystyczne było zawsze dźwignią sztuki, takie to stanowisko zajmował i zajmuje zawsze Wilam Horzyca, dlatego też każdy sezon teatralny jego pracy przynosi wciąż nowe, wysokowartościowe pozycje dla ogólnopolskiego repertuaru.

Prace najnowsze w Teatrze Ziemi Po-morskiej w Toruniu potwierdzają w pełni nasze mniemania.

Władysław J. Dobrowolski

Teatr rapsodyczny

Śląski Oddział Związku Zaw. Literatów zaprosił do Katowic na kilka gościnnych występów krakowski Teatr Rapsodyczny, w zamiarze zapoznania publiczności katowickiej z dorobkiem tej nowej, oryginalnie po-myślanej sceny. Teatr ten bawił w Katowicach w dniach 6 i 7 bm., dając trzy podwójne spektakle, na które złożyły się: „Hymny“ Kasprowicza, Mickiewicza „Pan Tadeusz“ oraz zmontowane z tekstów kilku au-torów „Słowo o Kościuszcze“ i „Bajka“.

Każdy spektakl Teatru Rapsodycznego to skondenso-wana poezja. Może więc błędem było łączenie w jedno przedstawienie dwóch „sztuk“, z których każda obli-czona jest na godzinę. Był to dla przeciętnego widza (powiedźmy raczej słuchacza) ładunek zbyt duży i tro-che nużący. Bo Teatr Rapsodyczny ma więcej cech wspólnych z radiowym „Teatrem Wyobraźni“ niż z normalną sceną. Wrażenia wzrokowe odgrywają w nim rolę zupełnie drugorzędą. Składa się na nie tylko nieskomplikowane zgromupowanie aktorów, bardzo oszczędny i ograniczony do momentów koniecznych gest, gra światła i kostium bardzo prosty w swej ro-mantycznej stylizacji. Główną rolę gra słowo poety. I trzeba powiedzieć, że zespół Teatru Rapsodycznego ten zasadniczy element swej gry opanował znakomicie. Zwłaszcza powiedzieć to trzeba o kobiecym trio zesp-o-

łu, złożonym z Haliny Kwiatkowskiej, Danuty Micha-łowskiej i Krystyny Ostaszewskiej. Piękna, nieskazi-telna dykcja, inteligentna, miejscami urzekająca inter-pretacja tekstu, świetne zgranie w recytacji zespoło-wej, duża, pełna naturalnej prostoty dynamika — wszystko to decyduje o nieprzeciętnej wartości Teatru i czyni go doskonałym środkiem szerzenia kultu wiel-kiej poezji.

Z rzeczy pokazanych nam w Katowicach przez Teatr Rapsodyczny wyróżniły się bezsprzecznie „Hymny“ i „Słowo o Kościuszcze“. Pomysłowo i ciekawie zmonto-wany z tekstów Rostworowskiego, Bogusławskiego, No-waczynskiego i Reymonta, rapsod o Kościuszcze por-ywał słuchacza dynamiką i siłą wyrazu. Skróć tego montażu wykonany przez zespół Teatru w radio kato-wickim nosił wszelkie cechy teatru radiowego, a ed-ncznał się przy tym doskonałym wykonaniem. Scenicz-ne wykonanie „Hymnów“ wydobło i uwydatniło bez reszty wszystkie dodatnie cechy kasprowiczowskiej poezji, często trudne do uchwycenia dla przeciętnego odbiorcy w czytaniu, to też słuszenie spotkało się z go-rącym przyjęciem publiczności. Montaż sceniczny z „Pana Tadeusza“ miał wiele szczęśliwych i uroczych momentów, uwydatniał miejscami specyficzny liryzm tej epopei, przekonywał siłą wyrazu w finale, ale w całości był z natury samego poematu i konieczności dużych skrótown więcej statystyczny niż dynamiczny, co na scenie szczególnie się odczuwa. Jeśli natomiast chodzi o „Bajkę“, to poza wyróżniającym się pięknym wykonaniem Rydla „Bajki o Kasi i królewiczu“ ca-łość była raczej bezbarwna i rozwlekła. Teksty Tetma-jera, Staffa, Mickiewicza i Słowackiego wyszły błado i nieciekawie zwłaszcza „Król Bobo i królowna „Lala“.

Dla Zw. Zaw. Literatów jako organizatora występów Teatru Rapsodycznego w Katowicach była to pierwsza próba tego rodzaju. Publiczność reagowała żywo i ser-decznie, ale mogło jej być dwa razy więcej. Zwłaszcza brakło wśród niej młodzieży szkół średnich. To był błąd. Nie mniej na usprawiedliwienie dodać trzeba, że sala teatru Zw. Zaw. Kolejarzy, w której odbywały się przedstawienia, oddana na administrację p. Juliu-sza Glaty'ego nie spełniła tu zadań, jakim powinna służyć. Nieodpowiedzialna poczynania p. Glaty'ego sprawiły, że nie można było gościny Teatru Raps-o-dycznego należycie wykorzystać i rozplanować, gdyż sala pomimo zamówienia jej przez Zw. Literatów na określone dni została w ostatniej niemal chwili na wieczór niedzielny ddana na r-wię z Fernterem. Wy-nikło zamieszanie, które zmusiło do zmiany układu przedstawień i skreślenia ostatniego najlepszego pod względem pory spektaklu. Byłoby pożądanym, by ZZK. zrewidował swą umowę z nieposiadającym najmniej-szych kwalifikacji do tych funkcji administratorem oraz by w kwestię tę wglądnęły urzędowe czynniki, sprawujące opiekę nad sprawami Kultury.

Nie mniej gościnia Teatru Rapsodycznego w Katowi-cach pozostawiła wrażenie dodatnie i raz nawiązany kontakt Śląska z tą krakowską placówką teatralną po-winien być kontynuowany.

Zdzisław Hierowski

Kronika czeska

Na terenie Czechosłowacji, przylegającym do Polski, można od pewnego czasu obserwować inte-resujące objawy rozwoju ruchów o charakterze re-gionalnym, dążących do pielegnowania właściwości kulturalnych pewnych określonych okolic czy ob-szarów, ewentualnie nawet do wyodrębnienia ich w pewne całości o pewnym własnym charakterze. Oile poprzednio termin „regionalizm“ mało był w Cze-chosłowacji spotykany, o tyle teraz nie tylko, że określa się pewne ruchy mianem regionalnych, ale próbuje się zdefiniować samo pojecie regionalizmu.

Jednym z tych pogranicznych regionalizmów jest regionalizm „laski“. Na pograniczu śląsko-moraw-skim, w górskiej okolicy, żyje ludność, mówiąca odrębną gwara, t. zw. laską. Jeszcze w r. 1934, poeta Ondra Lysohorskyt ogłosił w języku „la-skim“ zbiór poezji „Spiwajuco piasť“, wprowa-dzając tym język „laski“ do grona języków lite-rackich; skoiei w 1935 r. wyszedł tegoz autora „Hlos hrudy“ w tejże gwarze, wreszcie przed rokiem wyszedł najnowszy jego tomik „Pisne o slunci a zemi“, obejmujący m. in. i wiersze pisane w cza-sie obecnej wojny na emigracji w Rosji. Śladem Lysohorskiego poszli i inni, którzy do niego na-wiązali i też zaczęli pisać w gwarze „laskiej“, a więc przede wszystkim Józef Bylan, który pod pseu-donimem Józef Sinowski wydał świeżo powieść „Haldy na roli“. Jest to powieść z drugiej poło-wy XIX w., z ziemi hawierzy; tym, którzy zostali na roli w kraju „laskim“, przeciwstawieni są inni, którzy poszli na ziemię hawierską i zamienili plug na kilof. Drugi kontynuator Lysohorskiego to Jan Stunawski, górnik z Ostrawy, który jeszcze w r. 1940 zadebiutował poezjami „Spew hawirza“ a obec-nie wydał zbiorek „Melodyje z hur“. Sinowski i Stunawski są samoukami i należą właściwie do lite-ratury ludowej.

Tak jak w literaturze uwidocznili się „region la-ski“, tak znów w ogólnej problematyce kulturalnej wyodrębnił się ostatnio region „wałaski“ albo pod-beskidzki, obejmujący sąsiednie obszary „Moraw-skiego Valasska“. Towarzystwo Teatru Beskidzkiego

zaczęło właśnie wydawać pismo „Nova Lubina“, którego zadaniem ma być „dążenie do wyższego stopnia kulturalnego, gospodarczego i społecznego kraju beskidzkiego“. „Nova Lubina“ otwarcie mówi o regionalizmie: „Gdy naczelnym hasłem pracy w nowej republice stała się zasada decentralizacji, Nova Lubina chce się przyczynić do wybudowania wzorowego regionu wałaskiego“. Poza tematami do-tyczącymi regionu (o teatrze beskidzkim, o możliwo-sciach eksportowych przemysłu beskidzkiego, o mó-żliwościach utworzenia odrębnej „żupy“ wałaskiej) „Nova Lubina“ poświęca sporo miejsca i ogólnym problemom regionalizmu (artykuły Jana Kolucha o dzisiejszych zadaniach regionalizmu czy A. Zavos-kiego o problematyce teatru regionalnego i ludo-wego).

Z kolei zupełnie odrębnym i ostatnio wyraźniej za-rysowującym się regionem staje się Śląsk. Ze wzglę-dów administracyjnych (odrębność do 1928 r.) za-wsze stanowił on pewną całość samą w sobie; ostatnio znów stała się aktualną kwestia samorządu dla zie-mi śląskiej, do której by weszła zresztą i Morawska Ostrawa. Ale obok tego żywym ostatnio stał się na Śląsku Czeskim ruch regionalny o charakterze wy-bitnie krajoznawczym. Właśnie po siedmiu latach przerwionej przerwy wznowiła swą działalność cze-ska Matica Opawska i wydała nowy tom wydawnic-twa „Slezsky Sbornik“ z szeregiem naukowych roz-praw z ziemi śląskiej, jak o działalności czeskiego ekonomisty Chleborada w kraju Ostrawskim (Fr. Papoušek), o florze Hulczyńskiego (J. Veselí), zniemczeniu wsi Morawicy (A. Turek), drobnych cze-skich drukach na Śląsku Cieszyńskim (S. L. Mikuláš), o śląskim Catonie (L. Zatočil). Wznowiony „Sbor-nik“ pragnie znacznie rozszerzyć zasięg swych za-interesowań i objąć nim krajoznawstwo nie tylko kraju opawskiego, ostrawskiego i cieszyńskiego, ale i całego Śląska, „który przecież przez całe wieki podlegał czeskiemu wpływowi kulturalnemu“. Jako pismo wybitnie regionalne „Sbornik“ zastrzega się przeciw „wąsko pojętemu, zapatrzonemu tylko w siebie regionalizmowi“, któremu przeciwstawia „re-

gionalizm zaprzęzony do zadań ogólnonarodowych“. Dlatego „musi być w ścisłych związkach z badacza-mi poza śląskimi, głównie morawskimi“. Będzie równocześnie „śledził krytycznie wszelką krajoznaw-czą literaturę o Śląsku, także i obojętną“. Bę-dzie „trybuną wszystkich śląskich naukowych in-stytucyj, archiwów, muzeów, bibliotek, a przede wszystkim obecnie powstającego Śląskiego Instytutu Naukowego w Opawie“.

Równocześnie obok Matici Opawskiej tworzą się na Śląsku Czeskim inne instytucje jako ośrodki ru-chów regionalnych. W niedziele 10 marca utworzo-ne zostało pod przewodnictwem dr V. Martinka „To-warzystwo im. Bezrucza“ („Spolecnost Petra Bezru-ce“), która ma „śledzić wszelkie dziejowe i kulta-ralne związki śląskiej swojskości“ śląskiego cha-rakteru, na podstawie badań nad twórczością Piotra Bezrucza. Równocześnie powstało „Towarzystwo im. Pawła Krzyżkowskiego“, mające zajmować się za-gadnieniami muzycznymi na Śląsku, między innymi badaniem pieśni i muzyki ludowej.

Obok tych prac badawczych podjęto i pewne za-miierzenia praktyczne: Matica Opawska rozpoczęła propagandę strojów ludowych na Śląsku, utworzyła koło pracowników etnograficznych, otwiera poradnię w sprawie strojów ludowych, organizuje krawców mających szyć ludowe ubiory.

Wreszcie rozpoczął się ruch regionalny i na tere-nie już nieco od nas dalszym ale tym niemniej po-przez Morawskie Valassko z tymi regionami się łą-czącym, na terenie tzw. Słowaczyny Morawskiej („Moravske Slovakia“), tj. okolicy Moraw załudnio-nej przez ludność pochodzenia słowackiego. Morawska Słowaczyna zawsze się wyodrębniała swą bogatą kulturą ludową. Ostatnio zakrzętnięto się tam koło zorganizowania i skomercjalizowania wytworów lu-dowego przemysłu artystycznego i w tym celu stwo-rzona została specjalna spółdzielnia. W Uberskim Hradyszu, które jest stolicą tego regionu, powstał teatr „słowacki“, zaczęło też wychodzić pismo re-gionalne „Literarni Slovakia“.

*) Ondra Lysohorsky, uciekając przed Niemcami, przybył w r. 1939 do Katowic. Przyjaciele jego twórczości, młodzi pisarze śląscy, daremnie próbo-wali stworzyć mu w Katowicach jakies mocne pod-stawy materialne. Dla czynników urzędowych był przede wszystkim komunistą, to też nie udało się go przesadzić do szkolnictwa średniego, w któ-rym mógł wykladać języki obce. Razem z Jirzim Taurerem, obecnym redaktorem tygodnika marks-istowskiego w Pradze p. t. „Tvorbá“, pomagał w wykonaniu audycji słowno-muzycznych p. n. „cze-ska hodinka“, które rozgłosiła katowicka nadawa-wała dla Czechów. W dniu 31 sierpnia 1939 r. na-dano stąd wiersze O. Lysohorskiego w recytacji au-tora po raz ostatni. Przygotowany przed wojną do druku tom wierszy laskich zachował się, oddany na przechowanie, u jednego z pisarzy śląskich w jedy-nym bodaj odpisie (Przyp. Red.).

Jan Reichman

Zbiorowe wydanie dzieł Jędrzeja Cierniaka

Ludowy Instytut Oświaty i Kultury postanowił przy-stąpić do opracowania zbiorowego wydania dzieł Ję-drzeja Cierniaka. Zamierzony plan wydawnictwa ma obejmować nie tylko jego prace z zakresu kultury lu-dowej, ale ma również dać charakterystykę jego oso-bowości, odtworzyć ze wspomnień postać, dać obraz człowieka, wychowawcy, działacza społecznego, nau-czyciela i pracownika oświatowego.

Instytut zwraca się tą drogą do wszystkich kolegów, przyjaciół współpracowników, współwielźniów i uczniów Jędrzeja Cierniaka, z prośbą i apelem o opracowanie wspomnień, któreby uwydatniły cechy Jego osobow-ości. Ponadto prosi Instytut o nadesłanie wszelkich materiałów, a to: ciekawszych, ze społecznego punktu widzenia, listów, notatek bibliograficznych, uwag J. Cierniaka — tychże różnych dziedzin pracy spo-łecznej, fotografii i wszystkich przyczynków, które do urzeczywistnienia zaprojektowanego wydawnictwa mo-głyby być przydatne.

Wszystkie materiały należy przysyłać na adres: Prof. Stanisław Pigoń — Kraków, ul. Garbarska 7 a.

Życie nauki

Ukazał się 3. numer miesięcznika naukoznawczego „Życie Nauki“, zawierający artykuły: Ludwika Sa-wickiego (Podstawowe postulaty organizacji nauki), Witolda Suchodolskiego (Na marginesie konferencji krakowskiej z 26. I. 46). Bogdana Suchodolskiego (Podstawy i zadania nauki — omówienie nowej książki angielskiej A. S. Nasha), Tadeusza Dowjata (O reprezentację zawodową pracowników naukowych) i Bogu-sława Leśnodorskiego (O celach związku zawodowego pracowników naukowych), Leona Białkowskiego (Po-trzeby starożytności polskiego), Henryka Batowskiego (W sprawie Instytutu Słowiańskiego w Polsce). Część informacyjna przynosi bogatą kronikę życia naukowego w Polsce i za granicą oraz Komentarze, których au-tor w nawiązaniu do tematów poruszanych przez prasę kulturalno-społeczną omawia zagadnienia humanizmu, rozwijając pogląd zwany humanizmem naukowym, ana-lizując wartości wychowawcze humanistyki i przepro-wadza metodologiczną dyskusję zagadnienia swobody wyboru stylu w literaturze. Numer dopełnia przegląd akt ustawodawczych, dotyczące nauki, sprawozda-nia z książek i dodatek angielski.

„Życie Nauki“ jest poświęcone najaktualniejszym zagadnieniom nauki polskiej, zagranicznej i jej zna-czenia społecznemu oraz światopoglądowemu i dlatego czytać je powinni wszyscy, interesujący się problemami współczesnej kultury. Można je nabyć w placówkach „Czytelnika“ i w innych księgarniach. Cena 3-go numeru zł. 30. Prenumeratę kwartalną (zł. 75) przy-miuję „Czytelnik“. Adres Redakcji: Kraków, Szopena 1 — 7.

OKRĘG ŚLĄSKO-DĄBROWSKI POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO

wydaje obecnie wskrzeszony przedwojenny organ P. Z. Z.

„Strażnica Zachodnia“

„STRAŻNICA ZACHODNIA“ ma przyczy-nić się do kształtowania i precyzowa-nia tego co nazwać należy polskim programem zachodnim, który obejmu-je krystalizowanie w opinii społecznej zasadniczych tez polityki i gospodar-stwa na Ziemach Odzyskanych jak i urabianie postawy wobec ziego są-siada za Odrą.

„STRAŻNICA ZACHODNIA“ dawać bę-dzie równocześnie syntetyczne oświe-tlenie — z polskiego punktu widze-nia — procesów zachodzących na te-renie okupowanych Niemiec.

CENA NUMERU 20 ZŁ.
Adres Redakcji i Administracji:
Katowice, ul. Powstańców Nr. 43. Tel. 369-01

Dr Władysław Jan Grabski: Polska nad Nisą, Od-rą i Pasieką. Nakładem autora 1945. Tłoczono w za-kiadach graficznych „Lignica“. Stron 79.

Nareszcie idealna książeczka o naszej dziejowej walce nad Odrą i na szerokiej ziemi pomorskiej. Idealna, bo nie rezygnując z wierności historycznej podawanych faktów napisana jest z pasją i szczero-ścią, jakiej w żadnym wydawnictwie o naszych Zie-miach Odzyskanych dotąd nie było. Zarówno próby podania montażu historycznego antagonizmów polsko-niemieckich na zachodzie i północy jak i wynikają-ce z nich wnioski podane są w typie najlepszej po-pularności.

Książeczka ta powstała równo rok temu. Przez ten rok żyliśmy się już z naszymi Ziemiami Odzyska-nymi jako tako a żywamy się z nimi wciąż jeszcze historycznie. Książeczka dr Grabskiego, znakomite-go zresztą powieściopisarza, zyskała przez ten rok tylko na aktualności i lektura jej dziś zwłaszcza, po rocznym już gospodarowaniu na Ziemach Odzyskanych, pomoże nam dobitnie w ostatecznym wy-zwoleniu w psychice polskiej zagrabionych ognis ziem. W rozdziale „Prawa Polski do Pomorza i Ślą-ska“ nie ogranicza się autor do historycznych tylko przesłanek, ale prócz politycznych, strategicznych i gospodarczych praw Polski do tych ziem uznaje mo-ralne prawo Polski, pisząc, że jest to „nasz moralny obrachunek z cywilizowanym światem, a w szcze-

gólnie z Europą“. Wychodzi on tutaj z założenia, że Polska jest zasadniczym przeciwnikiem Niemiec. „Polska nie po to walczyła nieugięcie z germanstwem, nie po to piętnowała ich podłość i okrucieństwo, kłamstwa i bezprawie, by naśladować ich w złym i sprzeniewierzać się chrześcijańskim cnotom, które nas wiodły dotychczas i dzięki którym trwamy nie-złomni, a żywotni na gruzach absolutystycznych im-periów Niemiec i Austrii, naszych zaborców“, ale „żądamy, by cały świat... napiętnował na wieki zbrodnie niemiecką przeciw słowiańszczyźnie, nagro-dził, choć częściowo, krzywdę i stwierdził prawa mo-ralne Polski do twórczego i wolnego bytu na pra-slowiańskich ziemiach Europy.“

Choć emocjonalny komentarz do historycznych fak-tów niezupełnie by może odpowiadał mentalności na-ródów zachodnio-europejskich, książkę należało by przetłumaczyć na ich języki, bo daje sugestywny skrót naszych tu nad Odrą zmagani i naszych praw.

Wydano ją w 50. tysiącach egzemplarzy. Niska ce-na (10 zł za egzemplarz) powinna spowodować, że książka ta znajdzie się nie tylko w bibliotekach pu-blicznych lub stowarzyszeniowych ale także w bi-bliotekach domowych wielu Polaków. (brz)

Ziemię Odzyskane w ilustracji. Pocztówkę arty-tystyczną. Seria I, 20 sztuk. Instytut Zachodni w Po-znanu.

Rzutka dyrekcja Instytutu Zachodniego wpadła na

doskonały pomysł wydania kilku serii pocztówek, poświęconych historii, krajozrazowi, ludziom i pom-nikom naszych Ziem Odzyskanych. Tematyka ilust-ra-cji pierwszej serii jest bardzo rozległa, bo geogra-ficznie rozciąga się od Budziszyna po Olsztyn a tre-ściowo zawiera obok zdjęć charakterystycznej archi-tektury, związanej swym powstaniem bludziejami z polskością i Polakami, zdjęcia krajozrazu (wspaniale fotograficznie fragmenty Pojezierza Mazurskiego), pomników (pełen wdzięku motyw z posągą Regelin-dy, córy Chrobrego, w katedrze w Naumburgu; słyn-ny grobowiec Henryka IV Probusa z kościoła Św. Krzyża we Wrocławiu).

Nowe to wydawnictwo Instytutu Zachodniego moż-na szczególnie polecić szkołom i świetlicom, gdzie doskonale spełnia swą rolę, rozwieszona na ścianach w odpowiednim fotomontażowym układzie, wśród ha-sel powrotu polskiego na Ziemie Odzyskane.

Wykonanie jak na powojenne trudności typogra-ficzne — solidne. Należało by tylko sobie życzyć, by następne serie ukazywały się na sztywniejszym nieco papierze. Tak samo należało by unikać pozostawia-nia choćby nawet częściowo zamazanych napisów nie-mieckich. Tak np. pocztówka przedstawiająca kościół N. M. Panny w Ślubicach razii niemiłe dużym napisem niemieckim na stojącej obok kamienicy. (brz.)

Glossy i notatki

PRZEJAZDEM

Niemiecki gospodarz Gustav Sternck we wsi Karyszowice pod Strzelinem nie jest jeszcze wysiedlony. Przeklinając wulgarnie brał się do bicia polskiego soltyśa, gdy ten prosił o konia na orkę. Odsyłał soltyśa-repatrianta „weg nach Galizien”.

Krew wzburyła się chłopom-repatriantom. Ale — odeszli.

Oto Niemiec wygrywa wojnę psychiczną z repatriantami, wygrywa ją nawet wówczas, kiedy wyjeżdża z Polski. Wyjeżdżając — przecież czuje się pewniejszy tych ziem („bald komm ich wieder”), aniżeli pozostający repatrianci („bo to jeszcze kto wie jak będzie”).

Wojna psychiczna trwa.

Pewien ksiądz polski z Wrocławia udał się w sprawach służbowych do urzędującego jeszcze na Śląsku Dolnym niemieckiego proboszcza. Na swoje „laudatum Jesum Christum” usłyszał niemiecką odpowiedź, więc też odrzekł kurtuazyjnie po niemiecku „gruess Gott”. Wtedy niemiecki proboszcz przekonał, że ma do czynienia z rodakiem, zbliżywszy się powiedział: — Da sind Sie auch von den leidenden Genossen?

Dlaczego Niemiecysy księża tak długo muszą cierpieć terror władz polskich? Przecież Administracja Apostolska we Wrocławiu mogła by z każdym niemieckim transportem na zachód wysłać choćby po jednym „cierpiącym towarzyszu” duchownym.

A naszych księży wciąż jest na Ziemiach Odzyskanych za mało.

— Pan się narodowo bałamuci — powiedziała mi w autobusie pewna wykształcona pani, kiedy się cieszyłem, że coś się jednak robi i że wrastamy znowa w Nadodrze. A mnie tak wszystko na prawdę cieszy: remont domu, orka na polu, wagony ze znacznikiem PKP, polskie drogowskie, czapka studencka we Wrocławiu, nasadzona na jaskach kokosza u osadnika, dym z kominu fabryki kafi pod Bolesławem.

— Proszę pani, ja się doprawdy narodowo bałamuci, bo choćby taka banalna rzecz: skowronki grają nad polami.

Zby.

OPOLE

O rewidukację dzieła Wita Stwosza. Władze wojewódzkie w Katowicach wszczęły starania o rewidukację figury Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus i aniołami, zdefiniowanej jako dzieło Wita Stwosza z roku 1480. Rzeźba ta wywiezioną została z Opola, przez wojska niemieckie w r. 1945.

„Zbiór poezji literatów na Opolszczyźnie”. Opole, 1945. Pretensjonalna i błędna stylizacja tytułu. Następnie: czy rzeczywiście zbiór poezji „literatów na Opolszczyźnie”? Autorzy pochodzą z różnych stron Polski, a wiersze tematowo nie mają nic wspólnego ze Śląskiem Opolskim. Tomik przynosi utwory: Skorupińskiego, Skobienkiej, Michałaka i Kaschnitza. Poziom wiersz — niki. Wiele wpływów obcych, dużo wody. — sporo niedbalości. Najlebszy Skorupiński: „A czy ty pamiętasz, mogiły i cementary, sterczące komin, kościółki ruiny? I świszące kule, co szarpia koszuły, w gruzach wszystkie domy, zburzone przez gromy?”

Może podać ramię Skobienkiej: „W głębi słyszysz echa granie, wstrząsnąć go nie jestem w stanie, Ty je tylko powitasz, Panie z życiem, które męką za nie.”

U Michałaka — przerost formy, lecz talent jest. Dobry stosunek poezji Kaschnitza. Wiersze jego, przynajmniej granica tych wartości, od których zaczyna się poezja.

„Twarz na Zachód” — recital poetycki w Opolu. Wygłosili tu swoje utwory: Wilhelm Szewczyk, Jan Baranowicz, Józef Nacht, Aleksander Baumgarten i Wojciech Zukrowski. Wiersze Osmańczyka recytował art. dram. Orłowski. „Konferansjerka literacka” prowadził Hierowski.

W. Hlouszek.

KRÓTKIE SPIĘCIA

Tadeusz Breza opowiada w Odrodzeniu o wizycie we Francji. Mimo, że na fotografiach widnieją Maudslayi, Elouard, Aragon — rozmowy, które przytacza Breza odbywały z anonimowymi przedstawicielami głównych nurtów intelektualnych Francji. Może dlatego wypowiedzi ich są szersze, bardziej charakterystyczne i wolne od zdawkowych komplementów.

Francja przeżywa ten sam kryzys co i cała Europa. Nauka i literatura robią wszystko, by zaciemnić światopogląd, podważać każdy ustalony porządek. Żadne półśrodki lecznicze nie budzą zaufania. Francuzi są po prostu spragnieni mocnej ręki, mimo woli oczy zwracają ku Rosji, która im imponuje prostotą, surowością i pierwotną siłą. Liczą, że jeśli im nie dopomóż, to w zetknięciu z nią stworzy się na tyle silny ruch samoobrony, który mógłby ożywić biernie, spragnione spokojnego trawienia, nasy mieszkańcy.

We Francji wysuwają się na czoło jak i u nas dwa mocne prądy, jeszcze nie przeciwstawne, ale już silnie rywalizujące mimo wzajemnych ukłonów — katolicyzm i marksizm. Katolicyzm uległ przemianom, oczywiście nie w dogmatach, ale uprzedmiotowił się, rywalizuje radykalizmem społecznym, nie odwołując się do Królestwa Niebieskiego, próbuje stworzyć ziemskie.

We Francji interesują się Polską, jako krajem będącym najbardziej w cieniu Rosji, krajem w którym kryją się trzy kultury. Nasze eksperymenty ustrojowe i ekonomiczne są na Zachodzie żywo komentowane.

W Odrodzeniu ukazuje się dalszy ciąg odpowiedzi na ankietę — „W pracowniach pisarzy i uczonych”. Wśród powodów nazwisk, znajdujemy wielu literatów, o których nigdy nie słyszeliśmy, którzy są pewnie znani jedynie redaktorowi Kurykielowi. Dziwimy się mocno, że Redakcja Odrodzenia dotąd nie uświadomiła sobie, że Kraków i Łódź nie są jedynymi ośrodkami, że istnieją jeszcze Ziemia Zachodnia, na której jest wielu pracowników kultury. Żaden z nich nie otrzymał ankiety Odrodzenia mimo, że większość z nich jest współpracownikami tego tygodnika. Uważam to pominięcie za bardzo charakterystyczne i świetnie obrazujące różnicę między deklaracjami o misji literatury na Zachodzie, a jej praktycznym realizowaniem.

Gdy wskazałem na mentorskie stanowisko Odrodzenia, twierdząc, że w sposób nieaktowny wystawia nam cenzurki, w Kuchni pan ph. oburzył się na mnie. Cieszę się, że Paweł Hertz jest innego Odrodzenia — „w piśmie waszym jak w dzienniku szkolnym wystawia się cenzurki...” Potrzeba było dopiero by te cenzurki wystawiano jednemu z bliskich znajomych, żebyście Koledzy przyszli na nasze podwórko.

Zbliżając się rocznicę powstania śląskiego przypomina ciekawy artykuł Pawła Kubika w nr 7. Odnosząc, omawiający udział ruchu robotniczego w walce o polskość Śląska.

Tadeusz Kudliński, dotąd ograniczający się do recenzji teatralnych w Tygodniku Powszechnym, daje nam w Odnosie reportaż ze Słowiańskiego Akademickiego Obozu Narciarskiego w Karpaczu.

W wycieczce tej brał udział znany Teatr Rapodyczny dr Kotlarczyka. Teatr ten, który mieliśmy ostatnio przyjemność gościć w Katowicach, pokazał nam jaką wartość jest dobrze wypowiedziane słowo. Ciekawa recytacja i naprawdę znakomity dobór tekstów, dal zwłaszcza w „Słowie o Kościuszcze” niezapomniane wrażenie.

Ostatnio na Śląsku wzrosła aktywność Związku Zawodowego Literatów, który podjął się, prócz imprez objazdowych w Opolu i Bielsku, wydawanie dodatku literackiego do Gazety Robotniczej. Podobny dodatek pod redakcją J. Brzozy ma już Trybuna Robotnicza. Tam też ukazał się w związku z napływem literatów, bądź ich kłusowniczymi wypadami na teren Śląska, artykuł red. Markowskiego, o linii podziału między autochtonami a przybyszami. Artykuł ten w zasadzie słuszny, jest wart specjalnego przedyskutowania, gdyż środowisko śląskie nakłada specjalne obowiązki na pisarzy, wymaga dużej dojrzałości i wielu rezygnacji.

Przykładem literackich pomyłek jest dodatek dla dzieci „Hulajnoga” w Trybunie Robotniczej, pod red. Magdaleny Samozwaniec.

Poziom jego jest przerażający niski, nie mówiąc już o żadnych walorach pedagogicznych. Dziwimy się, że tak znana satyryczka, jak Magdalena Samozwaniec może dopuścić, by jakaś wierszokletka podpisana MS zamieszczała niegramatyczne wierszki w rodzaju „Spowiedź”.

Jest to wyliczenie grzechów młodego zwyrodnialca i początkującego mordercy. Oto próbki:

„Wylicze ci szereg grzechów:

Kto do ptaszków strzelał z procy,
kto pod siebie robi w nocy,
i ognio wiąże kotkom,
i lalkę siostry rozbił młotkiem... itd.”

A teraz odpowiedź tego młodego volksdeutsha, którego poznajemy po strasznej polszczyźnie i hurra patriotyzmie

„Wiem że nieraz czyniłem złe,
ale że nie porwał cyny
Niemcu nie rozwalili leń
To się liczy jako grzech
Choć może tylko ped...”

Obok sąsiaduje wierszyk również tejże MS, w którym zwierzątka oklinają się „psiakrew”.

Zdaje mi się, że chowałem w ten sposób dzieci wkrótce wezmą cepy i kłną socyście, znając redakcję Hulajnogi. (Magdziu, strzeż się!)

AGA

Nauki historyczne we Wrocławiu

W organizowaniu nowego ustroju społecznego — tam zwłaszcza, gdzie nie ma tradycji własnej państwowości i rozgrywać się musi walka nie tylko o utrzymanie terytorium, ale i o nadanie specjalnej fizjonomii duchowej ludności tak osiadłej jak i napływowej — poważną rolę odgrywa nauka historyczna. Ich zasięg i metody ograniczają się wtedy nie tylko do naukowego poznania przeszłości, celem uzasadnienia historycznych praw do danej ziemi, ale dostarczyć również muszą materiału czynnikiem państwowym przy rozwiązywaniu problemów językowych (polszczenie nazw), społecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Ta korelacja nauki z bieżącym życiem państwowym najślisiej występuje na terenie Śląska, gdzie dopiero z chwilą zorganizowania uniwersytetu we Wrocławiu, można przypisać do poważnych badań naukowych, których wyniki mogą stać się realną podstawą polityki państwowej.

Taką instytucją naukową, która zajmuje przodujące miejsce w życiu umysłowym Śląska, jest wrocławski Instytut Historii zorganizowany w maju 1945 r. w niesłychanie ciężkich warunkach.

Niemieckie władze po częściowej ewakuacji ludności pozostawili zakłady naukowe w fatalnym stanie, bez należytego zabezpieczenia wywożąc cenniejsze zbiory na prowincję. Instytut Historii, tak świetnie rozwinięty od drugiej połowy XIX w., pozbawiony został prawie że całkowicie swych zbiorów. Na podstawie pozostałych ksiąg inwentaryzacyjnych oraz katalogów — można jedynie w części odtworzyć bogate zbiory kompletowane pieczołowicie przez całe zespoły specjalistów, przy czym należy podkreślić, że na żadnym prawie uniwersytecie niemieckim nie były tak silnie rozwinięte nauki historyczne, jak właśnie we Wrocławiu ze względu na jego kresowy charakter. Była to istotnie „brama wypadowa” nauki niemieckiej, zwłaszcza, że chodziło tu o Wschód. Niemiecki Instytut Historii, do którego działalności przyjdzie nam nie raz powracać — pełnił rolę wywiadu naukowego i dostarczał władzom wojskowym niesłychanie cennego materiału, co szczególnie podkreślano w „wynurzeniach” urzędowych, był instytucją poważnie rozbudowaną, posiadającą jeszcze w r. 1944 około dziesięciu wykładowców oraz bibliotekę złożoną z kilkudziesięciu tysięcy tomów. Z inicjatywą również Instytutu kreowano Instytut Europy Wschodniej (kierownik prof. Koch, referent spraw polskich dr Gotthold Rhode), którego jednym z główniejszych zadań było dokładne zestawianie i tłumaczenie prac oraz najmniejszych nawet artykułów dotyczących stosunków polsko - niemieckich. Sam również główny inceptor Instytutu prof. Herman Aubin, szowinistycznie nastrojony, kierował systematycznie pracami, które zasięgiem chronologicznym i terytorialnym dotyczyły Śląska oraz ziem polskich.

Na gruzach tej przeszłości przystąpiono do organizowania polskiego ośrodka historycznego. W pierwszym stadium jego rozwoju od 15.5.1945 do 10.12.1945, w którym to okresie najpoważniejszą rolę odegrał prof. Maleczyński; oprócz prac wstępnych naukowo-administracyjnych — zabezpieczono opustoszałe sale Instytutu przed grabieżą i niszczeniem, co udało się osiągnąć dzięki energii kierownika i studiującej młodzieży.

W drugim etapie, skoro przybyły pierwsze siły asystenckie, zdołał prof. Maleczyński po przezwyciężeniu trudności transportowych przenieść z okolicznych wsi część biblioteki historycznej, tj. około 6.000 tomów, które wspólnie ze szczerzym gronem współpracowników (3 osoby) rozdzielono na poszczególne zakłady.

Najlepiej wyposażona w dzieła naukowe jest Katedra Historii Śląska (około 3.000 tomów). Jeżeli chodzi o zagadnienia śląskie, jest to najlepiej wyposażona katedra ze wszystkich polskich i niemieckich uni-

Pisma niemieckie rozpoczęły ostatnio wielką kampanię propagandową w kierunku udowodnienia, że współczesne życie kulturalne w Niemczech nawiązuje do najlepszych tradycji wielkich humanistów niemieckich. Jest to robota nie na potrzeby wewnętrzno-niemieckie. Za wiele bowiem szafuje się tutaj porównaniami poetów i myślicieli niemieckich z wielkimi duchami Anglii, Francji czy nawet Ameryki. Niemcom zależy dziś bardzo na tym, by utracenie do nich zaufanie odbudować przez wykazywanie pokrewieństw kultury niemieckiej z kulturą innych narodów zachodnio-europejskich. W całej tej akcji pomija się świadomie wszystkie, występną typy w kulturze niemieckiej, nie ma nawet prób usprawiedliwiania się, dlaczego i dzięki czemu takie typy mogły powstać i rozwijać się. Niektóre pisma berlińskie w gorliwości swej poszły tak daleko, że wykazują, ile to pokrewieństw duchowych łączy literaturę niemiecką z literaturą rosyjską. Jako przykład podaje się m. in. przejmujący, nastrojowy wiersz Rilkego o krajobrazie rosyjskim. „Tylko Niemiec — pisze „Die Volkszeitung“ — mógł odczuć tak głęboko głos krajobrazu i duszy rosyjskiej”.

Berliński „Der Morgen“ uchylił cośkolwiek rąbka nowego niemieckiego indeksu. Mianowicie oddział oświaty ludowej przy magistracie miasta Berlina przy współpracy Izby Pracowników Sztuki i Zrzeszenia Kulturalnego dla demokratycznej odnowy Niemiec sporządził listę autorów, których wszystkie książki zakazane są w bibliotekach i czytelniach publicznych. Do autorów tych należą Hans Friedrich Blunck, megaloman i S. A. Mann ze złotą odznaką partyjną, jeden z pierwszych prezydentów Izby Piśmiennictwa Rzeszy; A. Bronnen; Edwin-Erich Dwingier, który po wrześniowej kampanii w Polsce; z nadmiernej gorliwości napisał kłamliwą książkę o rzekomych gwałtach, popełnionych w Polsce na osobach narodowości niemieckiej; Ernst Glaeser; Paul Grabein; Mirko Jelusich, autor historycznych powieści, pisanych z niewątpliwym talentem, ale ostatnio zanałto pod sznur urzędowego pojmowania historii przez narodowy socjalizm; Hans Johst; Hans Christoph Kaergel (którego wspaniała biblioteka prywatna pod Jelenią Górą oferuje pewien urzędniczy za 20 tysięcy zło-

wersytetów. Obejmuje ona nie tylko wydawnictwa źródłowe, czasopisma (często istotnie białe już krukli), zbiory kartograficzne — ale i bogate przezroczca, czym żaden prawie z przedwojennych polskich instytucji nie dysponował.

Szczególnie cenne również dzieła posiada Katedra Historii Nowożytności. Epoka Bismarcka np. jest prawie wyczerpująco opracowana. Niestety nie to literatura wyłącznie niemiecka o znikomym procencie polskiej, angielskiej czy francuskiej. Dzieła polskie, które w dawnym Instytucie były bardzo silnie reprezentowane, zostały wywiezione. Pozostało zaledwie 30 dzieł polskich, które powróciły na dawne swe miejsce, choć na podstawie dawnych inwentarzy, można podać w przybliżeniu, jakie posiadał Instytut „polonica”. Obecnie po upływie trzech miesięcy, mimo niedostatecznych dotacji, posiada Instytut Historii około 300 dzieł polskich, co może już służyć za podstawę do pracy pedagogicznej.

Natomiast do stosunków polsko-niemieckich posiada Katedra Historii Polskiej bardzo bogatą literaturę (w języku niemieckim), przeważającą w tym czasie polskie i zagraniczne uniwersytety.

Na podkreślenie zasługuje również bezcenny zbiór przezroczcy dotyczących historii średniowiecznej i nauk pomocniczych historii.

Obecnie Wrocławski Instytut Historii, choć najmłodszy i mimo swego kresowego położenia, nieodpowiednie dotowany i zdany wyłącznie na swoje siły, gdy chodzi o wypożyczanie książek z innych bibliotek, stał się najpoważniejszym ośrodkiem naukowym Śląska. Już obecnie Instytut ściągą badaczy z różnych okolic Śląska, korzystających z Biblioteki Historycznej, lub przeprowadzających badania terenowe.

Z chwilą przybycia do Wrocławia prof. Modelskiego jednego z najwybitniejszych obecnie znawców historii powszechnej, został dokonany podział na dwa Instytuty: Historii Polski i Historii Powszechnej. Katedrę Historii Nowożytności objął świetny wykładowca krakowski prof. Władysław Czapliński.

Z inicjatywy prof. Maleczyńskiego zorganizowano Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Historii, którego pierwsze odczyty wywołały poważny odzew w społeczeństwie wrocławskim. Już same tytuły odczytów: „Herb miasta Wrocławia” (prof. Maleczyński) i „Rozwój terytorialny miasta Wrocławia” (mgr Andrzej Jochełsin) — wskazują, że terenem badawczym T-wa stanie się Śląsk, chociaż w swych założeniach programowych postanowiono uwzględniać również i tematy ogólnohistoryczne. Oprócz odczytów dla szerszej publiczności urzęda T-wo zebrania wyłącznie naukowe, przeznaczone dla historyków. Jednym z pierwszych był odczyt prof. Opatnego: „Miejska biblioteka we Wrocławiu” — oparty na nieznanych dotychczas źródłach archiwalnych.

W miesiącu maju na ukazać się również pierwszy numer oficjalnego organu T-wa: „Vratislavia”, do którego są już przygotowane materiały. Już w tym stadium organizacyjnym, mimo braku funduszy, wykazuje T-wo wiele żywotności, wzbudzając silne zainteresowanie na Śląsku, co czymś świadczy najlepiej stałe nadysyłane zgłoszenia na członków — jak i liczna frekwencja na zebraniach naukowych czy popularyzacyjnych.

Ze względu na teren jak i bogatą spuściznę naukową niemieckich towarzystw historycznych, które w rzeczywistości śląskiej już nie istnieją, jednak ich duch oraz dzieła docierają do każdego ośrodka naukowego zagranicą; i nieraz jeszcze staną się poważną przeszkodą w twórczości pracy naukowej, tak jak obecnie stają się bodźcem do wyrównania wiekowych zaniedbań w dziedzinie państwowej i naukowej — otwiera się przed Wrocławskim Towarzystwem Historycznym pole do działania.

Franciszek Kącki

»Odra« zaczęła wychodzić jako tygodnik.

Prenumerata pisma wynosi miesięcznie 28 zł,

kwartalnie 80 zł. Prosimy o wpłacanie pre-

numeraty na konto P. K. O. III 4960.

Co robią Niemcy

tych): Felix Lueckendorf; Gerhard Menzel; Herbert Menzel, szowinistyczny „Volksdeutsch”, urodzony w Oborniku w Wielkopolsce; i Ulrich Sander. Oczywiście zabroniona jest twórczość Rudolfa G. Bindinga, Hansa Carossy, Fallady, Kolbenheyera, Wilhelma von Scholza i kilku innych. Przeglądając ten spis, dziwimy się niepomnierni. Jeśli już jest bowiem mowa o współczesnych, to dlaczego nie ma tu poetyzującego kronikarza ruchu hitlerowskiego Anackera, którego książki w kilkuset tysiącach nakładach wydawał sam Franz Eher Verlag? Gdzież się podział Gerhard Schumann? Lista jest niekompletna, tak jak niekompletna jest wycieczka zła, tkwiącego w duszy niemieckiej, pełno w nim luk. Pełny indeks literatury niemieckiej musi być opracowany rąkoma. Książki pisarzy hitlerowskich są bowiem sprzedawane po dziś dzień w miastach niemieckich (ba — sprzedają je także niektórzy polscy księgarze na Ziemiach Odzyskanych, nie orientując się snad w zawartości tej literatury).

Plastycy niemieccy przeżywają prawdziwą orgię wystaw. Tematyka współczesnego malarstwa niemieckiego w niczym nie odbija przemian politycznych, jakie się w Niemczech dokonały. Poznikają z płócien zadzierzyste zady koni, ciągnących armaty błotnistymi, ukraińskimi szlakami, poznikają obandażowane głowy żołnierskie i ręce, rzucające granaty, wszystko to, co tak chętnie było widywane na dorocznych Kunstausstellungen w Monachium. Z wczorajszej tematyki pozostały jedynie obnażone piersi jasnowłosych matek, karmiące pulchne niemowlęta, jedyna patriotyczno-polityczna pociągająca manifestacja współczesnego malarstwa niemieckiego. Natomiast pełno jest obrazów zbroń, fali rzecznej, martwej natury, z dominującymi w niej fotografiami poległych na wojnie synów i mężów, stojących obok rumianych gruszek i bananów. Poza tym widoczny jest smieszny już dziś trochę powrót do form ekspresjonistycznych. Wystawa młodych malarzy w Hamburgu uodowodniła m. in., jaką popularnością cieszy się u młodych t. zw. entartete Kunst, przekleta w hitlerowskich Niemczech, a podzwaniająca nieświeżym już dzisiaj formami. Rzeźba przedstawia się skromniej, być może, że wciąż jeszcze trwa wpływ Thoraka i Arno Brekera, którzy hodowali kamiennych herosów o twarzach niemieckich. Te parę aktów dziewczęcych w marmurze i drzewie, jakie ujrzał w Ilamburgu, mogło by chyba świadczyć o ubóstwie tematycznym niemieckiej rzeźby.

A cóż z muzyką? Jak malarstwo i rzeźba tak i muzyka t. zw. monumentalna runęła. Kochają się w Niemczech w melodiach tanecznych anglo-amerykańskich, rozgłoszone radiowo zaś nadają z płyt te całą muzykę taneczną lekką czy ludową, która słuchana była z upodobaniem w czasie wojny. Nie ma tylko marszów, ale od czegoż 9 milionów zarejestrowanych odbiorników radiowych? Jeśli się chce posłuchać niemieckich marszów wojskowych, to wystarczy przekreślić wskazówki na Londyn, Pragę lub Warszawę, skąd co dzień prawie płyną dźwięki niemieckich marszów lub piosenek marszowych z obcojęzycznym podkładem słownym.

Drogi współczesnej kultury niemieckiej są niejasne i wydaje się, że nie kierują się według jasno ustalonych programów. Rozmach życia kulturalnego i jego silna podstawa materialna poczynają kulturalnych nie uratują Niemiec przed głębokim kryzysem twórczym. Być może, że kryzys ten nie zbyt będzie dostrzegalny, ostatecznie nigdy nie braknie w Niemczech pieniędzy na książki, teatry, filmy. Aljanci też ich nie poskąpią. Kryzys twórczy objawi się jednak w tym, że cały ten ruch kulturalny w niczym nie wpłynie na rzeczywistość odnowy duszy niemieckiej. Oryginalna twórczość, związana ściśle z problemami współczesności przy tym artystycznie dojrzała, długo pozwoli na siebie czekać. Kultura niemiecka żyć będzie długo jeszcze zapożyczaniami z kultury obcej i dawniejszej niemieckiej. W zapożyczeniach tych nie zdaje się pomieścić sens współczesności niemieckiej.

Z jednej strony rozmach, wspaniała oprawa techniczna, z drugiej pustka wewnętrzna, bezideowość i cma. Krocząc takimi drogami, kultura niemiecka osiąga zewnętrzny rozkwit ale wnetrze jej długi czas nie będzie meblowane. Stare meble trzeba było wyrzucić, a o nowych nie, wiadomo jeszcze, z czego będą zbudowane i jaki będzie ich kształt.

Nie pomoże strojenie się w piękne piórka przed zagranicą, wykazywanie duchowych pokrewieństw. Powstawanie kultury nowej i bezgrzesznej musi mieć za warunek powstanie nowej psychiki niemieckiej. Na razie wszystko rośnie i rozkwita, ale brak w tym wszystkim serca i duszy. Widoczny jest najwyższy rozum, ale chytrzący się, przekorny, zadziwiająco nierozsądny. (wisz)

Patrzmy na ekran

Katowicki barometr filmowych wydarzeń nie przewiduje w najbliższym czasie zbyt silnych wstrząsów. Co prawda, atrakcyjność filmów powinna wzrastać wprost proporcjonalnie do wzrostu temperatury w warunkach naszego klimatu. Wiemy wszyscy, że nasza wiosna i lato są porami przychylnymi raczej innym Muzom niż X-tej. Na lato trzeba nielada emocji, żeby zwyczajnego widza ściągnąć z rozprężonego asfaltu, spod mrocznego cienia drzew w lunatyczne objęcia ekranu. Bardzo to poetycko powiedziałem, ale zbliża się czas, kiedy najwięksi prozaicy życia, jakimś sa kierownicy kinoteatrów, muszą się liczyć z poezją. — Wiosna jest już i tylko naprawdę dobry film może znieść jej romantycznych klientów. Oto mój atut i legitymacja.

Wracając do recenzyjnego obowiązku, zwracam uwagę na interesujący film amerykański z Robinsonem, w roli tytułowej („Prawo doktora Lindsaaya” — Kino „Union”). Rola bezkompromisowego wroga szantażystów trapiących całe miasto, spełnia niezrównany manager z „Kida Galahada” — Ribinson, łatwo, raczej bez przekonania, Rola ta trochę za ciasna dla jego talentu i temperamentu aktorskiego, tak, jak za ciasna jest jego marynarka, w którą go ubrał, niewiedząco po co — reżyser.

„Biały murzyn” (kino „Zorza”) polski film, nie niszczy pozycji Baluckiego w literaturze polskiej. Na razie, dobre i to.

Przy okazji przypominamy raz jeszcze, że rok bieżący jest wielkim rokiem Filmu. Mija bowiem 50 lat od chwili, gdy pierwsze filmowe obiektywy, na razie umocowane na stałe w jednym punkcie, zaczęły podpatrywać ludzkie życie. Rejestracja czwartego wymiaru, materialne dotknięcie, pokazanie czasu, jako elementu stawiania się ludzkości — oto, w czym leży atrakcyjność i dziwność genialnego wynalazku braci Lumiere.

O tym 50-leciu napiszemy jeszcze przy innej okazji obszerniej, jak w związku z takim wydarzeniem należy. Na razie — rejestrujemy.

Aleksander Baumgarten.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 8. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik” — Nr R 17006